

Świat
MŁODYCH



NUMER
PODWÓJNY 516

BOŻE NARODZENIE 1946

32 STRONY
CENA 20 ZŁ



To też bronili się zaciekle i nie przebrali w środkach. Kościoły wrocławskie — solidne budowle gotyckie, wsparte późniejszymi przybudówkami, posiadały mocne sklepienia, niemal jak schrony. Własow zmagazynował w nich pociski artyleryjskie, kiedy zaś oddawał dzielnicę po dzielnicy nacierającym wojskom, wysadzał amunicję, a z nią szły w powietrze bezcenne gotyckie budowle. Wśród tych gruzów niemal razi jakiś zachowany portal romański z XII w., obudowany troskliwie zasłoną z cegły, aby go nie uszkodziły odłamki, czy jakaś barokowa kaplica ksząca w gotyckiej katedrze, jeden z cudów baroku w Europie, wszystkie kolumny i ściany wykonane są całkowicie z marmuru, wbrew tendencji barokowej do oszukiwania widza stiukiem, tynkiem czy złoceniem.

Nie trudno doszukać się tu śladów polskości. Usłużny Niemiec, klucznik z katedry, jednym tchem wymienia kilkanaście imion biskupów polskich, pochowanych w kościele i prowadzi do grobowca jakiegoś księcia czy kardynała, ktoś inny wskazuje mimochodem na typowo polskie konstrukcje gotyckie kościoła Bożego Ciała; nie omeszkalem zatrzymać się przed kościołem św. Elżbiety, aby obejrzeć, zastanowiącymися kratami i ukrytą głęboko w ścianie — rzeźbę Wita Stwosza, ale na obejrzenie wykopalisk prehistorycznych nie dałem się namówić. Nie miałem także ochoty na wysłuchiwanie rodowodów książąt śląskich, ani na wyszukiwanie i oglądanie niezmiernie rzadkich ksiąg śląskich o hutnictwie i górnictwie. Nie poto pojechałem do Wrocławia. Miałem zobaczyć to miasto, przekonać się, czy i jak żyje. Ten, kto choć paru dni nie spędził na Złotych Złotych, własnymi oczyma nie obejrzał ludzi, którzy je obejmują dla Polski, nie wglądają choćby przez moment w ich życie, nie rozumie najprostszą, a zarazem najważniejszą prawdę tych stron, tej mianowicie prawdy, że problemy, z którymi tam borykają się ludzie, są w gruncie rzeczy takie same, jak w Warszawie, Gdańsku, czy Olsztynie, że dokonano tam już olbrzymiej wstępnej pracy ocena i zagospodarowania tego, co się ocalało i zagospodarować dało, że dziś, w niespełna dwa lata po oswojeniu tych ziem, zabieramy się do ich odbudowania, tak, jak to czynimy w całej Polsce.

Widziałem Wrocław martwy, pełen gruzów i zgłiszcz. Ale idąc po oczyszczonym chodniku, uswiadomiłem sobie nagłe, że to męprawda. Dziś Wrocław liczy ponad dwieście tysięcy mieszkańców, oczywiście Polaków, przyby-

WROCLAW - martwy i żywy

Od Dworca na Odrze aż do Dworca Głównego, wzdłuż wysokiego nasypu czy wiaduktu kolejowego — wciąż ruiny i ruiny. Wyjechałem z miasta, gdzie na wszystkich prawie ulicach leży gruz, z Warszawy; ciężką noc przespaliśmy na drewnianej ławce w przedziale wagonu z miejscówkami, a kiedy się obudziłem — na szczątkach ścian rozbitych domów ujrzałem nowe tabliczki z polskimi nazwami ulic i zaułków, po których nikt nie chodził.

— Przecież to martwe miasto, ten Wrocław — pomyślałem wysiadając na Dworcu i pozwoliłem się ogolić zaspianemu fryzjerowi z zakładu dworcowego.

— A pan dobrodziej z Warszawy? To się pan przynajmniej napiątry, jak my tu się ruszamy. Żyjemy, pszę pana — rzeki kordialnie na zakończenie tradycyjnej konwersacji i zażądał trzydziestu złotych.

Węc jakże jest z tym Wrocławiem? Miasto martwe — czy żywe?

Byłem w nim parę dni. Wałęsałem się po ulicach, utopionych w jesiennym błocie, nad którymi sterzały szkielety wypalonych domów, a jedynym świadectwem obecności ludzkiej były nadeptki, przyciśnięte przez cegły, aby ich wisiar nie porwał, głoszące, że rozrywano pod nimi: truskę — na szczyry.

Byłem również na czarnym rynku wrocławskim. Wrocławianie mają inne obyczaje niż

Warszawiaci: o dziesiątej na placu Strzeleckim, otoczonym szeregami anemicznych drzewek i wysłanym liśćmi, wdeptanymi w błoto — jest jeszcze pusto. Ale punkt jedenasta... Może zresztą trochę przed jedenastą — plac zapelnia się, otwierają się drewniane budki, rozwalają się na błoście olbrzymie łoboty. Kupić? Sprzedać? Fajanse, kryształ, buty, sweterki, fajerki, słonina i kiełbasa — a był to czwartek, dzień bezmięsnym, tylko książek nie mogłem się doszukać. A szkoda — może kupiłbym.

Zwiedzilem również kościoły wrocławskie, a raczej to, co po nich pozostało: obdarte ściany, fragmenty przepięknych kaplic, bramy, które donikąd nie prowadzą; stare, bardzo stare i bardzo piękne rzeźby, owoc wielowiekowej pracy artystów, świadczące o geniuszu ludzkim i — o polskości miasta, rzeźby, które dziś zdobią tylko gruz. „To nawet nie lotnictwo angielskie, ani nie artyleria sowiecka”, mówił mi młody polonista wrocławski, kiedy z rynku na lewo skręciliśmy w ulicę i podeszliśmy pod kościół Świętej Marii Magdaleny, który — jak rozkrajany nożem — rozpruły jest wylubchem od dachu aż po fundamenty. We Wrocławiu bronili się własowcy, może ci sami, którzy odznaczyli się potwornym okrucieństwem w powstaniu warszawskim. Osaczeni przez żołnierza radzieckiego, zdradcy nie mieli wyboru.



tych ze wschodu, repatriantów z obco-
nie mieckich, warszawiaków, wilnian, lwowiaków
Tym ludziom dano mieszkania i pracę, ujęto
ich w karby organizacji miejskiej, a ich dzie-
ciom dano szkoły, uniwersytet i politechnikę.

Z nad kupy białego popiołu, który zachował
jeszcze kształt kartek z książek (to spalona bi-
blioteka niemieckiego uniwersytetu, która li-
czyła kiedyś około 300 tys. tomów), bardzo
nie daleko do Ossolineum, najsławniejszej bi-
blioteki polskiej we Lwowie, na której zbiory
składała się praca pokoleń, teraz zaś przewie-
zionej częściowo do Wrocławia.

Z tych książek (wśród nich jest parę tysięcy
białych kruków, tj. książek z pierwszych wie-
ków drukarstwa XV — XVI w. oraz rękopisów)
będą mogli korzystać niedługo studenci, polo-
niści i historycy, narazie zaś ci pierwsi mają
do dyspozycji bibliotekę seminaryjną, która
liczy — dwa i pół tysiąca tomów i zawiera naj-
potrzebniejsze rzeczy z literatury polskiej.
(Kiedy zaś potem, w Warszawie, szukaliśmy
nowej historii literatury dla wrocławskiego
uniwersytetu, okazało się, że jeden jej egzem-
plarz posiada profesor — autor, drugi zaś był
w rękach bibliotekarki i ten prawie podstępem
daliśmy do Wrocławia.)

Tworzenie uniwersytetu polskiego w polskim
Wrocławiu jest rzeczą bardzo ciężką. Nie ma
książek, nie ma dobrych pomieszczeń, nie ma
ludzi. Stara aula uniwersytetu, naładowane
ze smakiem typowo niemieckim alegorycznymi
postaciami, jest nieczynna, zimno w niej, ścia-
ny mocno splekane...

W Warszawie na pierwszym roku polonisty-
ki — jest stu pięćdziesięciu studentów. We
Wrocławiu — o czterdziestu studentów więcej.
W Warszawie — seminarium zawiera ładne
parę tysięcy książek, student może korzystać
z Gabinetu im. G. Korbuta (biblioteka INW),
z Biblioteki Uniwersyteckiej i w ostateczność
— z Narodowej czy Publicznej; sprytniejsi
tręfają również do biblioteki Ministerstwa
Oświaty czy bibliotek partyjnych; we Wrocławiu
— wobec braku książek studenci urządzają

wspólne ochotnicze lektury. Widziałem ma-
szcześnie nabitą studentami, którzy czytali gło-
sno komentarze do „Legionu” Wyspiańskiego
i przyznam się, że byłem tym przyjęty. Ten sam
duch — duch uczenia się za wszelką cenę, pa-
nował podczas wojny na tajnych uniwersyte-
tach warszawskich (piszę w liczbie mnogiej,
bo były dwa: poznański i warszawski.)

Stworzony przed rokiem Uniwersytet Wroc-
ławski żyje. Żyje i rozwija się imponująco.
Wydaje własne publikacje, związane bądź z
kulturą Wrocławia, bądź z dziejami uniwersy-
tetu; wiele polskich czasopism naukowych dru-
kuje się pod pieczę uczonego wrocławskiego.

A studenci, a młodzież? Byłem w klaszto-
rze, w którym zamieszkuje studentki, wypu-
szcono mnie jednak tylko do przedsiönka. Cóż,
trudno, nie widziałem, jak żyją studentki i
sui generis wrocławskim Domu Akademickim.
Na wieczorku literackim, zorganizowanym przez
Kolo Miłośników Literatury, na którym pewien
młody a niekoniecznie dobry pisarz czytał po-
piesznie i niewyraźnie jakąś nowelę, miała sa-
la wrocławska nabita była młodzieżą. To prze-
cież nie o to chodzi, że czyta nowelę pisarz
czy czy dobry, młody czy dojrzały, chodzi o to,
że te czwartki odbywają się regularnie, że ma-
ją już swoją tradycję, że młodzież poznaje li-
teraturę nie tylko z książek, ale ogląda ludzi ży-
wych, poznaje się z życiem literackim, że
przecież to jeszcze jeden kulturalny związek
z centrum Polski. Takich poczynań kultural-
nych ma za sobą Wrocław imponująco wiele —
ale wiele też jest do zrobienia. Każda książka
zbędna w szałie, każde dzieło naukowe, leżące
odłogiem, powinny wędrować do Wrocławia.
Temu miastu, tej młodzieży, stojącej na trud-
nym, szczególnie trudnym odcinku pracy, trze-
ba pomoc. Mniej tam potrzeba mieszkań, czy
jedzenia — więcej zreflexnej, wyjęzionej pracy.
Nie należy problemów wrocławskich: nostalgii
upartego zakorzenienia się na nowym gruncie,
dążenia do wybitcia okna na świat — lekcewa-
żyć, nie można też popełniać błędów w stosun-



ku do młodzieży tamtejszej, a z błędów tych
największym jest błąd — zapomnienia.

Kiedy po parodniowym pobycie wyjeżdżałem
z Wrocławia i przez ciemne okno wagonu wpa-
trywałem się w niewyraźne sylwetki ruin, ogar-
nęło mnie znów zwątpienie: martwe czy żywe
miasto?

Podsumowałem skrupulatnie to, co widzia-
łem i to, co wyczułem. I wydaje mi się, że
Wrocław jest miastem, które powraca do ży-
cia. Nie wiem, kto i kiedy sprzątnie gruz,
zalegające obrzynie polacie miasta, ani kto
odbuduje zniszczone kościoły i biblioteki.
Wiem jednak, kto odbuduje życie polskiego
Wrocławia. Budowniczym jego będzie mło-
dziez. Przez nią Wrocław staje się miastem
żywym.

Tadeusz Borowski.

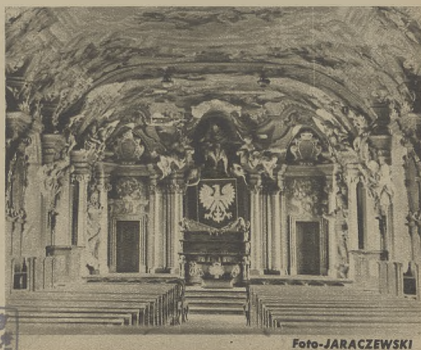


Foto-JARACZEWSKI

W SZKOLE SZYBOWCOWEJ



Ob. Opiola St. w kabine szybowca oczekuje na sygnał startu



Jeszcze sto metrów uciążliwej wspinaczki i oto znajdujemy się na szczycie wzgórza i wśród ludzi przestworzy — wychowanków Szkoły Szybowcowej w Grunowie na Dolnym Śląsku. W obszernych, zimowych kombinizonach wyglądają oni bardzo ociepleni. Jednakże grube, skórzane kurtki i spodnie oraz paścarki — zasunięte głęboko na oczy zabezpieczają należycie pilotów przed mroźnym wiatrem listopadowym, który tutaj hula niczym nie powstrzymywany. Zresztą ów wiatr jest dzisiaj błogosławiony przez wszystkich tu obecnych.

Trzy tygodnie czekaliśmy na taki „żagiel” — mówi instruktor ob. Kosobucki. Lecz widząc, że nie rozumiemy go należyście tłumaczy, że żagiel jest wiatrem o szybkości od 8 do 15 m/szk., pozwalającym na odbywanie lotów dłuższych, koniecznych dla uzyskania sprawności kategorii C o minimalnym czasie piętnastu minut.

Teraz rozumiemy znacznie więcej. Rozumiemy również podniecenie wszystkich tu obecnych. Dziś dzień ich sprawności, może ostatnia możliwość dana im w tym roku? Z wyjaśnieniem instruktora dowiadujemy się, że dla uzyskania kategorii A konieczne jest odbycie 25—30 lotów. 52 loty dają kategorię B. Znacznie większej sprawności technicznej i odwagi wymaga kategoria C — 72 loty, w tym jeden dłuższy. Kategoria D — 16 godzin lotu osiągają tylko nieliczni.

Wysoko w górze płynie szybowiec. Instruktor spogląda na zegarek — daje znak stojącym obok nas uczniom.

Robią oni rzecz dziwną. Trzymając się za ręce tworzą wielkie koło. Nie jest to zabawa, lecz znak dla kolegi w górze, że nadzedł jego czas, że musi lądować i oddać swe miejsce w kabine następnemu.

— Musimy ograniczyć do minimum czas trwania lotów, — mówi ob. Kosobucki biegnąc w stronę płaskiej polany. Niestety! Każde piękne przeżycie trwa tylko chwilę i przemija szybko.

Taką chwilą wydawało się widocznie owe 15 minut pilotowi szybowca SP 189, który za pomocą prymitywnego manewru pragnąłby przedłużyć swój lot. Bowiemy już po raz trzeci zaczyna wielkie koło na dość znacznej wysokości i nie ląduje. W rękach wyczekujących po-



Ponieważ nawet w dolinach jest już bardzo zimno, trzeba się wlec odpowiednio zabezpieczyć przed mrozowymi wiatrowymi gwałtami.



Z takim „aparatem” zbliżają się usłudzi pilotów, by przetransportować szybowiec ponownie na miejsce startu.



U dołu widoczną jest nie odezpięta jeszcze lina wyrzutowa

jawiają się białe chuski i nie wiadomo czy one, czy też poczucie solidarności koleżeńskiej, sprawiają, że czwarte okrążenie jest już znacznie niższe. Szybowiec przechodzi w lot ślizgowy i łagodnie opada ku ziemi. Już wyładował. Pilot wychodzi z kabiny uśmiechając się z zafascynowaniem, lecz nikt nie stawia mu zarzutów. Wszyscy doskonale rozumieją stan psychiczny pilota tam w górze.

Ktoś podjeżdża z dwukółowym wózkiem i z pomocą pozostałych kolegów aparat przetransportowany zostaje na miejsce startu, na stok góry. Instruktor sprawdza stan szybowca oraz przyłącza do przodu kadłuba maszyną linę. Po chwili szybowiec stoi w drewnianej szynie gotowy do wzlotu. Pilotem tym razem jest kobieta, Basia K. Wygląda osobliwie w tym stroju, i gdyby nie kosmyk blond włosów wymykający się niesfornie spod czapki można by ją uważać za pucyłowatego mechanika warzatków lotniczych. Zakładając ochronne szelki nieudolnie uśmiecha się zniechęconą, od mrozu twarzą, spoglądając przenikliwie i bez trwogi w rozpościerającą się przed nią mglistą dolinę. Już wszystko gotowe, dziesięciu kolegów wyjmują końce liny, czekając na znak znacznie niżej na stoku. Gwizdek. Chłopcy pedną w dół, szybowiec już trze o szynie, odrywa się łagodnie i zawisa w powietrzu, nad głowami tych dziesięciu. Pilot wyprowadza aparat w górę coraz wyżej. Lina już odezpięta. Człowiek-ptak kieruje się wprost na wschód, maleje i po chwili znika w rozlano-ucnioną mgłę. Ponieważ do czasu następnego lądowania ob. Kosobucki na chwilę wolną, hómacy nam chętnie zapamiętania związane ze szkoleniem. Szkołę prowadzi Ministerstwo Komunikacji. Większość uczniów to członkowie Aeroklubów z specjalnym uwzględnieniem Aeroklubu Śląskiego, oraz studenci wyższych uczelni. Po ukończeniu kursu, w razie poboru do wojska, mają oni pierwszeństwo wstąpienia do lotnictwa. Kandydat musi posiadać ukończone osiemnaście lat (niepełnoletni przedkładają zezwolenie rodziców), świadectwo lekarskie oraz dowód stwierdzający obywatelstwo polskie. Przy szkole znajduje się internat, przystosowany na 48 osób, jednakże w miesiącach letnich przekroczyłoby liczbę stu uczniów. Ministerstwo Komunikacji ogłosiło Szkołę w maju 1945 roku w stanie zupełnej dewastacji, lecz wysiłki garstki ludzi z inż. Puchajdą Tadeuszem na czele w krótkim czasie dały pełne wyniki. Dotychczas przeszkolono już ponad tysiąc uczniów.

Instruktor spogląda na zegarek, po czym zaniepokojony obserwuje horyzont. Gdzieś bardzo wysoko błyska punkt: k szybowca. Pod nim Jelenia Góra, której las kominów zlewa się w słońcu z najbardziej fantastycznymi chmurami. Punktik rośnie coraz bardziej. Trzeba sygnalizować lądowanie.

Fotografie autora
JERZY M. JARACZEWSKI



Jak się okazuje, szybowiec przy lądowaniu został lekko uszkodzony — nadłamanie płoty. Trzeba go odwrócić „na plecy” aby wymienić uszkodzony liogment



WALKA O POKÓJ

Kiedy 1 września 1939 r. niemieckie czołwki przekroczyły polską granicę, kiedy jęklącym, już nie próbującym alarmem odezwały się po raz pierwszy syreny, a na szosach zeroiło się od aut — nikt nie przypuszczał, że oto otwiera się nowa epoka w życiu narodów, epoka, dla której wojna będzie tylko tragicznym, długotrwałym prologiem.

Przez pięć przeszło lat luna stała nad światem. To pałity się wsie i miasta Polski, Rosji, Jugosławii... Przez pięć przeszło lat ginęli ludzie, miliony ludzi, dzień i w nocy, po drogach, po rowach, pod ścianami domów, za kolczastym drutem...

9 maja 1945 r. wojna się skończyła ostatecznie. Przeszły do historii jej wielkie kampanie. Klęski i zwycięstwa, bohaterские dzieje partyzantki i ponury koszmarny obóz. Pozostały ruiny, spalona ziemia, wyczerpani, sześcioletni ludzie. Pozostała nauka i przestroga i gorące pragnienie: żeby już nigdy więcej...

Tak zaczęła się nowa epoka. Walka o wszechświatowy pokój.

Pokój. Słowo przez polityków tyle razy kłaniane i koławione, tyle razy znieważane rozmatami „układami” i „pakietami niesięgrymi”, ta czoj już tylko rekwizyt dyplomaty, coś równie mezbędnego w saleniu międzynarodowym i równie nieobowiązującego, jak „proszę” lub „dziękuję”.

Nie o taki „pokój” idzie walka. Nie o przeciwności zwrot zamaskowanych lub nawet i nie zamaskowanych imperialistów, no o dobrotlive poklepywanie po ramieniu ręką, która

znagła potrafi się zacisnąć na gardle. Innego pokoju trzeba światu. Takiego, który płynąłby z ukształtowania życia poszczególnych państw, który byłby prostą wypadkową ich zagranicznej i wewnętrznej polityki. Takiego który byłby nienaruszalny i niezmienny, ustalony na wiele, wiele lat.

Jak pokój taki stworzyć i jak go zachować? Wojna i okres powojenny zagadnienie to postawiły i równocześnie wskazywały rozwiązanie.

Ustrój faszystowski wyeliminowany został raz na zawsze. Ustrój kapitalistyczny gwarancji i pokoju nie da, bo służy nie narodowi, a interesom klasy posiadającej, a interesy te — jak to już nieraz wykazała historia — wymagają czasem dla lepszego rozwoju — wojny. Po prostu — państwo A ma nałtę, a w państwie B jest kilku pańców, którym do szczęścia brakuje właśnie nałty. Parę nieoścjalnych rozmów, parę zobowiązań — i business zrobiony. Potem znowu pała się wsie, giną ludzie, byle jak, gdzie komu popadło — Ligi Narodów zawiodły. Innej trzeba szukać drogi.

Taka droga jest. Jest nią demokracja ludowa. To znaczy — rządy ludu. To znaczy, że naród sam stanowi o sobie. A wolą narodu jest trwały, bezwzględny pokój.

Mamy za sobą wybory w całym szeregu krajów: Francji, Włosech, Rumunii, Niemczech, Węgrzech, Stanach Zjednoczonych.

Rozważmy wyniki wyborów w tych krajach i wyciągniemy wnioski.

Z rozważań naszych wykluczymy przytem Niemcy. Po pierwsze z uwagi na specyficzne położenie tego kraju, jako kraju ujarznlonych imperializmów. Po wtóre z uwagi na nieszczyr-

charakter wyborów. Nie występowała w nich partia najbardziej chyba po dziś dzień niemiecka — partia hitlerowska. Trudno na podstawie oficjalnych wyników stwierdzić, na ile partia ta pozostała wyrazem ducha Niemców. Wyniki wyborów w Niemczech są charakterystyczne jedynie i wyłącznie dla Niemiec i to Niemiec rozgromionych.

Wyłączyć trzeba również Stany Zjednoczone z względu na ich zupełnie odrębną sytuację polityczną. Zatrzymajmy się jedynie na Francji, Włosech, Rumunii i Węgrzech — krajach najbardziej nam kulturalnie, gospodarczo i politycznie pokrewnych.

We wszystkich tych krajach zwyciężyły robotnicze partie, które do wyborów szły pod hasłem demokracji ludowej. Które szły do wyborów również pod hasłami wzmożenia produkcji, pod hasłami wyrzeczcia w imię odbudowy zniszczonej gospodarki. Nie operowały więc taniemi obciakami, a żądały ofiar i pracy. Mimo to, partie te zwyciężyły.

O czym to świadczą? — O tym, że narody pragną reform, pragną uwolnienia się od karteli, pragną odwrócić od siebie losy republik przedwojennych z ich konsekwentnym podążaniem w kierunku kryzysów i faszyzmu. A przede wszystkim, że pragną pokoju, pragną wolności od strachu. I to dać mogą jedynie rządy ludowe, pokojowa polityka stronnictw demokratycznych.

Takie jest krwina milionów okupione, doświadczenie ostatniej wojny.

Więc zanim rzucimy naszą kartkę wyborczą do urny, pomyślny chwilę o wojnie i poko-

Nie rzucim ziemi...

Przed wiehu laty gdzieś w okolicy Opola miał chałupę Jan Szewczyk. Po polsku dom przyozdobił, po polsku się nosił, bo i kraj był polski. Ale przyszły czas zabiorce Drang nach Osten, a powasnlony naród nie umiał się temu przeciwstawić. Chałupę Jana Szewczyka przemalowano na niemiecki Haus, a jego wnuki i prawnuki nazywano już Hansami Schewtschick, wylączając im gwałtem mowę i obczaj niemiecki.

Nietylko Jan Szewczyk i nietylko jego chałupa — cały Dolny i Górny Śląsk, cale Pomorzec, Prusy, zymne ziemie nad Odrą i Nisą, podzielily ten sam los. I kraj i naród przerebiono na niemiecką mołde, wydano auswehly, namalowano najpiewer czarne orly, potem czarne swastyki, i zdawalo się, że tak już zostanie na wieki.

A przyszedł dzień historii, gdy narody słowiańskie ruszły na zachód upamięnić się o swoje. Od huku kieluz opadł niemiecki tynek z chałupy Jana Szewczyka. Polska wróciła na swe piastowskie granice.



FOTO - FILM POLSKI

Imponujący zjazd autochtonów w Warszawie potwierdził głęboką łączność Ziemi Odzyskanych z macierzą. Ale przez ziemie te przeszła wojna. Liczne miasta, wielkie fabryki, zakłady przemysłowe, są zrujnowane i zniszczone. Trzeba je odbudować. Od tego zależy wykonanie naszego Trzyletniego Planu Gospodarczego. Od tego zależy przekonanie amerykańskich i angielskich ignorantów historycz-

nych, że ziemie te są naprawdę nasze i że nie mamy zamiaru z nich zrezygnować.

13 listopada 1946 r. KRN i Rząd Jedności Narodowej uchwały Dekret o Daninie Narodowej na zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych. Pamiętamy, że deklarując jakakolwiek sumę, inwestujemy ją w nasze własne gospodarstwo, i że wkrótce wróci nam się ona z naddatkiem.

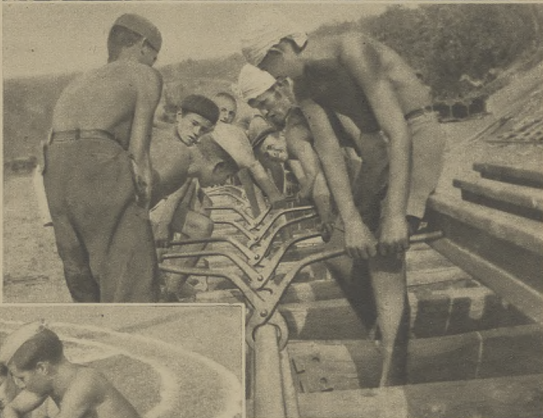


ÓMLADYŃSKA PRUGA

Podczas długich sześciu lat wojny partyzancka młodzież Jugosławii świeciła przykładem żołnierzom wszystkich ludów, walczących za wolność.

Po wojnie, kiedy z półkolonialnej, rozdzielanej antagonizmami narodowościowymi i zacofanej królewskiej Jugosławii powstała Federacja Ludowych Republik Serbii, Chorwacji, Słowenii, Czarnogórze, Hercegowiny i Macedonii — młodzież jugosłowiańska ujęła za kilof i łopatę i stanęła do dzieła odbudowy spustoszonego kraju.

Dnia 7-go listopada 1946 r. została zakończona budowa Toru Młodzieży (Omladyńskiej Prugi) — odcinka kolejowego długości 88 km, łączącego miasto Brčko nad Sawą z miastem Banowiczi. Tę ważną linię kolejową zbudowała młodzież sama, mając do pomocy tylko wojskową kompanię minerów oraz sztab inżynierski. Czas pracy był 12 razy krótszy, niż obliczały to przedwojenne projekty królewskie — zamiast sześciu lat położono tor w przeciągu 6 miesięcy. Wykopano ponad 1300 tysięcy m³ ziemi, wyrwano ponad 130 tys. m³ kamieni, prawie 1100 tys. m³ ziemi zużyto na nasypy, wybito



trzy tunele o długości 700 metrów. Zbudowano 14 stacji z urządzeniami. Zużyto 20 tys. m³ betonu. W pracy tej wzięło udział przeszło 60 tys. młodych Jugosłowian, z 18 państw przybyły delegacje młodzieży — razem 2 tys. ludzi, aby zamanifestować braterstwo młodzieży w pracy. Brygada polska liczyła 105 osób.

Tempo pracy było wielkie — i wielka wola odbudowy. Młodzież jugosłowiańska zbudowała w tym roku „Prugę”, długości 88 km, w przyszłym planuje budowę toru, łączącego Banowiczi z Sarajewem (140 km).

Wierzymy, że dokona tego dzieła.

Andrzej Piwarczyk

W STOLICY NOWEJ BOŚNI

Opuszciliśmy przed chwilą rozkrzyżczaną, egzotyczną dzielnicę dawnego Sarajewa, zwracając się z turecką „Baszczarszija” — co oznacza stare miasto. Niezapomniane są jego kręte, orientalne uliczki, niezapomniana jest dla przybysza z północy atmosfera tej części miasta, którą nazywają tutaj „Kazandžluk”.

Sarajewo — to centrum gospodarcze, kulturalne i polityczne Bośni, a „Czarzija” i „Kazandžluk” odgrywają rolę stolicy muzułmańskiej w Jugosławii. — Sarajewo ma przeszło 100 meczetów — i jest miastem, jak mówią bardziej orientalnymi, od wielu miast bliższego wschodu, jest miastem, które zachowało więcej obyczajów i władcywość islamu, niż najeńdżeń ośrodek zeurazjowanej Turcji.

Chodiliśmy po tajemniczych, ciemnych zaułkach „Czarziji” rojnych i gwarnych, zaglądałymi z zaciekawieniem do szeregów sklepów, przed którymi siedzą po turecku z nogami na krzyż poważni, brodati kupcy w „ahmedijach” na głowie („ahmedija” — to zawój noszony przez wyznawców prouka, którzy byli w Mekce). Piliśmy „turku kasu” w „kafanie” i „buze” w ulicznego przekupnia. Wspinaliśmy się mozolnie po wąskich, krętych uliczkach mieszkalnej dzielnicy muzułmańskiej. Te jedyne w swoim rodzaju uliczki, odznaczają się tym, że okna domostw wychodzą na podwórza, a przechodni na przed ocynną gładką, nieurozmaicaną niczym płaszczyznę szarych, najwyższej jednopiętrowych ścian. Gdzieniedzie tylko wystaje nad ulicą charakterystyczna kłania okna, wpuszczona u dołu na zewnątrz jak kłos — nazywa się to „arszik”. Pozostałość po dawnych czasach, po czasach baremów i serajów.

Godzina południowa.

„Hajal cesela, Allah ekber, Hajal cesela” — zawodzią ku niebu muzycy z wystrzępijących w głębokie, błękitne niebo iglic młanaretów. Smutny, przereziłwie smutny i żalony zew kapłanów muzułmańskich, drżący fanatyczny, niezrozumiałą dla przeciętnego Europejczyka melodia — jest czymś, co wstrząsa nawet najbardziej „wyrachowanych” i najbardziej „zimnych”.

Jest godzina południowa, z nieba wieje przeraźliwa biel bałkańskiego słońca, wierni na odgłos nawołowań z wieżyc meczetów, nakazujących modlitwę — zamykają pospiesznie stragany i sklepy. Opłukują odrobinną wodą z cynowych dzbanów, chwytnymi w dłoń,

swój oblicza, myją uszy, usta i nozdrza — i spieszą do dżami (meczet).

W tej chwili „Kazandžluk”, gwarzy, krzykliwy, tętniący przed pół godziną żarliwym, nerwowym życiem, właściwym tylko narodom wschodu — oddał się tak samo żarliwie — kontemplacji.

Odpywa na tle wysokich, dookólnych gór ku Ziemi Proroka, jak biały, ogromny jacht, którego masztami są minarety. Muzeju — obwieszający na cztery strony świata porę modlitwy — są jak przewodnicy w bocznicach gniazdach — wież. Martwo jest o tej porze w starej dzielnicy Sarajewa. Onieśmielone tramwaje, które tu dojeżdżają, dzwonią rzadziej i ciszej. Konduktory nie mają zresztą potrzeby gwałtownym dzwonieniem przeganiać z szyn upartych osiołków. Osiołki — powszechny w Bośni środek komunikacji i transportu stoją spokojnie poprzywisywane do straganów, a swarliwi, przędy nad miarę przekupnie, z upodobaniem klęcający się na synach tramwajowych — dokumentują opinie Allahowi, rozmawiają z wiecznością, wdzając w przeznaczenie, w ~~...~~

Kelëbka wojny światowej.

Jeśli zechcemy iść ze starego miasta bulwarem nad rzeczką Milaczką, trzeba minąć po drodze Príncipew-most, prócz nazwy, nie odznaczający się niczym od szeregów mostów nad zielono-mleczną wodą, łączących jedną część miasta z drugą, położoną nieco wyżej na zboczach gór.

Przypadek zrzucił kiedyś, że Milaczka i Príncipew-most przeszły do historii świata. Uświadomimy sobie to stojąc na pustym odcinku brukowanej kocimi łbami, małomasteczkowej uliczki. Po bokach domy szare, mieszczniańskie, jednopiętrowe. Nic szczególnego do kłosa, jest takich zakątków w świecie napawo milicy — i przesyłnibyśmy tędy bez słowa, gdyby nie tablica na narożniku.

Kilorość tam dnia z tej dzielnicy miasta, która leży po przeciwnej stronie Milaczki, wjechał samochodem na most arcyksiążę austriacki Ferdynand. Tu po tej stronie, w grupie gapiów, przyglądających się przelazdowi, pomazańca, stał młody bośniak — Gawrilo Príncipe. W ręku Príncipe znalazła się broń, która posłałowi pomógł symbolicznie okrucieństwa okupanta habsburskiego popelniane na ludach Bośni. Strzaly Príncipe rozpalily świat...

Jest to o tyle prawdą, o ile grawdą jest twierdzenie, że ta wojna, która skończyła się dopiero wczoraj — zaczęła się od Gd.ńska.

Marmurowa, szara tablica na domu przy moście Príncipe w Sarajewie mówi:

„U znak wiecznej żałobności Gawrilo Príncipe i negovima drugovima borcima protiv germańskih osvajača posvećuje ovu placu Omladina B i H Sarajewo, 7 maja 1914”

Poprzednia tablica, zniszczyła hitlerowcy w czasie okupacji Bośni, a tę nową ufundowała partyzantka młodzież Boświacka, — ta młodzież, dla której poświęcenie się Gawrilo Príncipe i jego towarzyszy jest najwyższym wyrazem miłości ojczyzny, narodu i swobody.

Nieco historii.

Jeśli spojrzeć do miasta, które rozłożyło się w kotlinie między wysokimi szczytami gór — na niekiedy śnieg leży nieprzerwanie przez cały rok, idąc w największe upały — pod szczytami Ignan, Trebević, Rajlovac i Bjelašnica (1610 m) czerwieniąją i bieleją naprzemiankami dawnych fortyfikacji austriackich, szczerzą zęby ruiny forteń potureckich, gdzieniedzie tylko okoliczne zielenią.

Zbocza gór dokoła Sarajewa są raczej martwe. Skala nie jest podanyim gruntem dla zieleni — i w samym pobliżu stolicy Bośni nie ma zbyt wielu winnic.

Przeplękanie wygląda Sarajewo, jeśli patrzeć na nie z góry. Zieleń cyprysów porozieliła na czerwonymi płaciami dachówek (większość domów kryła dachówką), gdzieniedzie występuje jak grzyby kopuły „dżami”. — Ukłany ten-dywan ostymi, białymi palami minaretów, podzieleny uliczkami, na których krzątają się mówki ludzie. Tramwaje sunące po jeźniach czy samochody — są jak żuki.

Bośnia była kiedyś, gdy istniało jeszcze królestwo Chorwackie, prowincją tego zamierzonego państwa Bośniacy wyznawali kałitalizm, typu, który na nasze polskie stosunki odpowiadałby mniej więcej arminizmowi.

Zwalczani przez Węgrów, bardziej papieżskich niż sam papież, a sami stronicy od brońi — poddali się w XIV wieku Turkom, odgrywając od r. 1525 rolę centrum tureckiego dla Bałkanów. Stąd zresztą wyszły kadry Janeczarów, którzy sprawili, że w pewnym okresie czasu na dworze sultana język chorwacki rozbrzmiewał narówni z narzeczaniami arabskimi.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przyszli do Bośni Austriacy i administrowali



Marszałek Tito wśród młodzieży jugosłowiańskiej



wall krajem aż do roku 1918, aż do upadku monarchii austro-węgierskiej.

Dzisiaj różnicę pomiędzy poszczególnymi grupami ludnościowymi są takie, jak pomiędzy poszczególnymi wyznaczeniami, w pokoleniu starszych wręczona fanatyzmem, na jaki stać tylko ludzi wschodu.

Zasługamy się informacją o przedstawicieli „mładiny” Bośni i Hercegowiny przy moście Principa i nie nudząc dalej opisem, jaki można znaleźć w każdej encyklopedii, zdaliśmy w dalszym ciągu w stronę europejskiej części miasta, t.j., która decyduje nie o przeszłości Sarajewa, jak „Baszczarszija”, ale o jego przyszłości.

Nowe miasto.

Szerokie, europejskie, niczym nie różniące się od ulic Beogradu czy Zagrzebia ulice, wielkie europejskie magazyny, których nie powstydziłby się Budapeszt. — Znacznie mniej tutaj mężczyzn w leżach i „ahmedjach”, mniej kobiet w „czarczalach” i szwarachach, których tak wiele na starym mieście. Tutaj przednie ubrania są prawdziwie z europejskiej.

Gdyby nie głośniki sarajewskiego radiowęzła, rozprzeszczelnające nad ulicami orientalne, żywe melodie, mające zresztą swój czar i swój urok, można by zapomniać o tym, że Sarajewo jest sercem głąbiącego islamu na Bałkanach, o tym, że to miasto jest w Europie najskrajszym symbolem symbiozy dwu światów, tak dalekich, a tu przecież w tym miejscu tak nierozłącznych i bliskich.

Przechodzimy obok szeregu pierwszorzędnych europejskich gmachów, mieszczących szkoły, urzędy ministerialne i państwowe, potężny szereg dzieł architektury nowoczesnej, szereg budynków, które wspaniale mogłyby się znaleźć na Alei Saucha w Warszawie, z powodzeniem tworząc „pendante” do gmachu WR i OP. Mijamy czynną fabrykę wspaniałych papierosów ze wspaniałego tytoniu hercegowińskiego, teatru, filharmonii, muzeum, — w jednym z nich odbywa się właśnie wystawa partyzancka. Obok — dysonans — cerkiew wyrosła po wojnie światowej pewnie — przyległa do niej cmentarz muzułmański, kiedyś leżący na przedmieściu, za miastem. Groby kobiet oznaczone są tu prostymi kamieniami w kształcie pala, mężczyźni mają za nagrobki takie same białe, kamienne słupki, z tą tylko różnicą, że owite u góry, wyrobionymi w kamieniu, zawojami „ahmedji”. Szary, nie odznaczający się niczym budynek, skromny jak skromni i próci są ludzie, których biniadacy wysunęli dzisiaj na czoło swego państwa to siedziba Frontu Narodowego Bośni i Hercegowiny. Tu urzęduje Radoljub Czolakowicz — przewodniczący Frontu, jeden z pierwszych przywódców ludów Federatywnej, Demokratycznej Republiki Jugosławii, jeden z najpiękniejszych ludzi jakich można spotkać w Jugosławii, rzędu tych, którzy w Serbii nazywają się Kardeb, w Chorwacji Bakarickazy Nazor, w Słowenii Kidrič, Miosa Pljace w Macedonii.

Wywiad.

W prosto urządzonej, nie dającym się określić innym słowem jak prostota — gabinetem mówimy o problemach i sprawach Bośni. Dowiadujemy się o nich w samego źródła.

„Chcielibyśmy dodać czasów, kiedy każdy chłop w Bośni miałby własny dom” — mówi Radoljub Czolakowicz.

„Bogaty jest nasz kraj — obfituje w lasy i kopaliny: ołów, miedź, srebro, złota nieco. Bogactw jesteśmy w białe złoto. Owoców mamy wiele, po Kalfuniji — Bośnia jest największym w świecie producentem śliwek.”

Nia mamy jeszcze przemysłu. Kilka ośrodków metalurgicznych jak w Zembyci, Breza i Kakanach — nie wyczerpuje naszych możliwości. Większość ludności to chłopi.”

— Prosimy kilka słów o partyzancie.

„Przypomnijmy, że tu u nas w Bośni w czerwcu 1942 r. Tito zorganizował pierwszą armię W Bihaczu, a więc w Bośni, powstał 1-szy AVNOJ. Nauczyliśmy się wiele w krwawej katedrze wojny. Było nas 2 miliony, zginęło w walce i w katowniach faszyzmu 700.000. Nauczyliśmy się wspólnoty społecznej.”

Przed wszystkim problemem dnia nas jest odbudowa transportu. Społeczeństwo nasze rozumie to dobrze. Ślad w szeregu okolic ludzie idą do pracy samorzutnie i dobrohwalnie, nie chcą wynagrodzenia. Masy czują, że ta Jugosławia — to nie lamta, królewska i magnacka.

Dzieki wyrobieniu społecznemu po tej wojnie, jakkolwiek zniszczenia było większe, jak po wojnie — nikt nie umarł u nas z głodu. Odbudowujemy spółdzielczość i szkolnictwo. Nie zapominając, że mamy u siebie 96 procent analfabek, podczas, gdy np. w Słowenii analfabeta jest tylko 3%.

— Jeżeli chodzi o zagadnienia muzułmańskie — mówi Radoljub Czolakowicz — muzułmanie są bezwzględnie osobną grupą narodowościową, jako tacy byli mordercami przez członków Drużby Michajłowicza, jako takich Niemcy gnał ich na front. Pavelić twierdził w swych zdradzieckich przemówieniach, że „muzułmanie” są kwieciem narodu chorwackiego.

Bośnia jest serbska, chorwacka i muzułmańska. Wszystkie te trzy grupy narodowościowe poszły za naszymi, demokratycznymi hasłami.

15 tysięcy naszych bośniackich muzułmanów znalazło się, w czasie wojny w tzw. Handžar-Dywizji (Handžar — nóż) tworzonej na terenie Bośni przez Walkiego Muttiego Jerolimowi — El Husseini. Akcja werbunkowa opierała się głównie o burżazję muzułmańską, która była ostoją reakcji w Bośni. Burżazja ta podsycała głównie nienawiść do zamieszkałych w Bośni bośniaków pochodzenia serbskiego i chorwackiego.”

— Od jakich reform społecznych zaczęła rządy w Republice Bośniackiej obecna, demokratyczna władza ludowa?

„Zaczęliśmy od przeprowadzenia reformy agrarnej. Dwie trzecie mieszkanców Bośni miało mniej ziemi niż 2 ha. Niestety, nie starczyło ziemi. Ostało około 12 tys. chłopów pozostło na kolonizację do Wojewodiny i Republiki Serbska przejmie napewno od nas dalszych, którzy tu z ziemi nie będą się mogli wyżywić.”

— Odpadał główny czynnik, który hamował wazę rozwój Bośni. Odpadała kwestia narodowościowa. Każdy rząd reakcyjny ma to do siebie, że egzystuje dzięki polityce „divide et impera”. Główny czynnik niemocey ludów nie istnieje więcej. Stajemy przed okresem pomysłowego, pokojowego rozwoju. Mamy szanse, jakich nie mieliśmy nigdy dotąd...” — kończy Radoljub Czolakowicz.

— Jesteśmy przed długie godziny pod czczeniem tego człowieka, udzielił nam jego portretu.



przekształcając ją w pragnienie podbojnej, szczerze, prostej, a żarliwej pracy w własnym kraju.

Znowu Baszczarszija.

Mówiliśmy o Bośni jutra, a mimo to trudno nam się uchronić od przełożonej chęci powrotu do starego miasta, powrotu w wąskie, kręte uliczki „Baszczarsziji”.

Mozna by iść o tej porze do teatru, na dancing, do jakiejś pierwszorzędnej restauracji. Można by odwiedzić teatr kina, grających zresztą najnowszą film Hollywood.

Znajdujemy się znowu na ulicce obok Begowca-Diami — dotychczas znowu wredną Wschodu spotegowanych w tej chwili wyolbrzymionym, głębokim szafirem nieba, zawieszam między szczytami chłubych, bośniackich gór, rozstrzęzionym miliardem gwiazd linających tak sugestywnie, jak tylko Młnć mogą u bajecznym wschodzie Szecherzady.

Księżyc wielki, złoty pielgrzym południa, wędruje w stronę tej części Jugosławii, która zwie się Hercegowina, a jest nieodłączną siostrićczą Bośni.

„Baszczarszija” zasypia u progu starożytnej, ognistej nocy Orientu. Kupcy i handlarze zmęczeni całodziennym, krzykliwym gardawaniem, szną przez sen zyski. Wielu udaje się przed snem do „kafany”, albo do zakopanego, letniącego lamburnymia, ubranymi w rozkryżowane dzwonki — szynku, zwałęcego się tu „gostionica”.

Miljamy ogromny muzułmański ratusz na starym mieście i w jakimś ciemnym, zaszuflowanym zaułku, znajdujemy lokal, który przyciąga ostrym śpiewem tancerki i krzykiem dzwonek wschodniej, zwycięwej melodii. Zmęczeni dniem całym obserwowujemy milcząc lądnie, śpiew i zachowanie się gości.

Ullica, ten świat — na który wyjdziemy po pół godzinie — świat Bałkanów pod wierzchołkami, zrozumiałym dla tego tylko, kto go przeżył raz choćby — niebodem — należy już w tej chwili nie do gości z szynku.

Zaułek za nami — jest symbolem zamierzającej, chociaż tajemniczej i niepojętej przez europejską do końca — epoki.

Tuż obok „Baszczarsziji”, na jednym z najbliższych placów, w świetle jaskrawych, nowoczesnych lamp elektrycznych — młodzież bośniacka, ta młodzież, która ukochała nad wszystkie wolność i wolność iść wywalczyła dla swego kraju tańczy tradycyjne, słynne już na pół Europejskiej „kolo”.

Tańczy po porówno: serbska z chorwackim, muzułmanin z chorwacką, serb z muzułmanin. Walka i nowa, ogromna idea — polączycy wszystkich młodych bośniaków wzięliami nierozweralnymi. Jutro Bośni i Hercegowiny należy do nich. „Lich” powstaje nowy, prawdziwy, jednolity „narod bośniacki”.

W INTERIORZE

Od tygodnia jesteśmy w Kubie w drodze. Ostatnie kilometry przebyliśmy na wypożyczonych mułach. Onegdajsza burza popuła szlak do tego stopnia, że o podróży samochodem, czy nawet zrywającą „carrossa” nie mogło być mowy. Przy Monte Tatu osiedli się na drogą cała góra, podmyta wodą. Zwalone palmy, cedry i piniorzy utworzyły wysoki, splątany zator. I przytem ciągle jeszcze zanosiło się na deszcz.

Nasze muły są tylko lekkimi truchcikami, niezmordowane dzień i noc i cały dzień następnego. Pod wieczór ujrzelismy pierwsze światło Ouro Verde, małej kaboklerskiej miejsciny. Stąd odchodzi nasz pociąg na zachód.

Ouro Verde — Zielone Złoto — liczy niewiele ponad tysiąc mieszkańców. Nudno tu i pusto. Po „Quinze” — około 15-go listopada, nazwanej tak na pamiątkę proklamowania republiki w 1889 r. — przechadza się, jak w każdym brazylijskim miście, kruczowołe dziewczęta, a w brzojach i pod cieniami domów słoją młodzi chłopcy i rzucają wsiad za nimi dotychczas i wynoszą spojrzenia. Pozym nic się nie dzieje.

Mieszkamy w hotelu Wszystkich Świętych, blisko kolejowego dworca. Wielkie, puzyste ściany dają o siatkę okien. Niebo, rasunęte od kilku dni deszczową mgłą, wysykrzyło się gwiazdami. Nisko, tuż nad samą ziemią, bliższy Cruzeiro do Sul. Będzie pogoda.

Ranekiem stomy be peronie, czując nadzieję pociągu. Jest jeszcze ciemnowo. Zielone Złoto śpi. Gdzieś daleko za „Górami Nadziei” zaczyna rżewółec. Snułke kontury palm oddają się ostro za śnieżącym zwłnie ła. Skłone tegy „arubiu” siedzą nieruchome na płocach, czując za siebie. Ich tyśo, plaskie głowy, witalne w strzępiaste płóra, budzą wstę.

Peron powoli zapełnia się ludźmi. Gruba mułata ustawia stółik z gorącą kawą. Wreszcie mały, rogowydziany, zgrzytający brazylijski pociąg wjeżdża na stację. Zajmujemy miejsca. Chędo be trem — kierownik pociągu — gwizdza raz, drugi i trzeci, przynęła odpieszają i sprawdzimy, że wszyscy już wsiadli — daje ostatni sygnał.

W czasie jazdy chynora się wagony, trzęsą szczy i drzwł. Z lokomotywy czuć sadze. Jest bardzo duszno, a okien otworzyć nie można, bo czerwony, stepowy kurz zasypuje oczy i tamuje oddech. Na szczęście, postoje są czyste. Tu jest zbiornik z wodą i trzeba odwieźć zapas, gdzieśindziej palące ładunki na parowóz pokładane przy torze drzewo, — a po chwili pociąg znów hamuje gwizdząc przeraźliwie i długo, bo na szynach spóły krowy.

Dużo osób jedzie na gapę, daje konduktorowi w garść i sprawa załatwiona. Na odległych szlakach sposób ten jest niemal zwyczajem, bo w interiorze ludzie na złość sobie nie robią. Czasem tylko konduktor się gniewa, gdy znajomy pasażer pokazuje mu prawdziwy bilet. Pociąg to kopia, zyma się, czy nie wież, że ja mam rodzinę? — A pociąg trzęsie się, kołysta, mijamy stepy, porośłe kępami kaktusów. wo-

dojają i hucają mosty. Na przystankach, maleńkich zapadłych stacyjkach, rojno. Pełno turkotów w długich złotych butach z kolczasty-mi ostrógami, w szerokich sombrero i faldzi-tych pelerynach — capa. Gdy uchyla się poly, widać błyszczący za pasem długi heben-kowicie i nóż w skórzanej pochwie.

Zastawiając, że prawie wszyscy się znoją, i tutaj, i ci z pociągu. Kordelnie zlepią się po opatkach, gestykulują żywo, mówią przedko i ciągle piją kawę. Chędo be trem przedziera się przez tłum: Senhores! Kończcie, bo jedzie-my! Pasażerowie płacą za kawę, kupują na drogę pierzki, inne owoce, sprzedawane przez małe muzykiantka, i powoli sadowią się w wagonach. Po drugiej stronie toru jakiś kobiecina biegnie ła sił. Ledwo dyszy, kiwa na maszyniście: „by chwilę poczekał. Poczek”, naturalnie, że poczeka, zresztą chędo be trem skończy jeszcze do bufetu po papierosy, wresz-cie ostatni dzwonek, potem gwizdek gotowe, fu fu! — Po chwili znów wszystko się trzęsie.

W sąsiednim przedziale piją chimarrao — brazylijską herbatę, zaparzoną w okrągłej „cuka”, która według z ust do ust. Ciągła kolejno gęty, gorzki napój przez metalową turkę, zwaną „bomba”, rozmawiają głośno, wy-macują rękami, zawierają znajomości i zaraz pozycją sobie pieniądze — bez kwitów, bez świadków, to zwykła grzeźność ludzka. Nie dźwi się, Kubo, zwróca napewno, tu w interior-ze, nikt nie lakomi się na cudze mienie — chęba, siłnica i chimarrao wystarczy dla każ-kiego.

Po wagonie chodzi sprzedawca gazeli i losów na loterii. Tarजूje duto. Los padelogo kupić najlepiej w pociągu. Brazylianie są przesadni — a na loterii grząją ciągle. Losy sprzedają nie-mal wszyscy i wszędzie, na ulicy, w kawiarni, w trafice, a ponieważ oprócz loterii federacyjnej jeszcze i każdy stan ma własną, więc ciągle-mie przypada uwarz erdziej, niż raz. Iziennie. Bardziej jeszcze popularna jest gra w bichoś. „Bicho” — znaczy dosłownie „wobak”, lecz Brazylianie używają tego słowa na określenie wszystkich prawie żywych istot. Bichoś jest mała pchełka ziemna, bichoś jest koń, jowar, dzięciół nawet człowiek, dodaje się tylko do tego wszechstronnego słówka odpowiednio: przymiotnik: bicho mały, zły, duży, chytry, przetrzywy. — W grze stawia się na „lakleko-wiek bicho, na strusia czy krokodydia, każde z nich ma swój numer, dochodzi tu sadto roz-maite zwłoc pożyłaj i kombinacje. Sławki się dowolno, o dużej rozpiętości wedle stanu i możliwości, w bichoś grzą bowiem wazyć przez całe życie: ministrowie, targarze, wojskowi, konkubitorzy, uczniowie i mełe dziew-czynki. Sensem istotnym gry jest palpitła — przedzęcie. Brazylianie szukają go w snach, spotykających i najbliższych zdarzeniach codziennego życia. Idele naprzykład senhora — nagle myśli uderzą ją w nos. Glupstwo, przy-padek. Senhora pomysłi chwile, potem wstę-puje do pienszajki budki z cygarami i stawia na myślitla. Są 34 różne „skomplikowane kombinacje, które udają się rozwiązać tylko, zawodowi specjalści, a gdy nie trafia, dyskutują długo i szukają, gdzie popełnili bład. Widać że

fnie samochod — to wspaniale palpitla dla bog-śo, kto się na tym zna. Sami samochod — to malo. Zawodowy palpicterz zapytuje, jaki sa-mochód był, czy stał, czy jechał, skrecał na prawo, czy na lewo? Potem nasłusła się obli-cka, rachuje — i stawia na jelenia. Jak do tego doszedł, to jego zawodowo tajemnica, tym zabawniej, gdy jeleni wygra. Dziecko śni się nauczył — cała rodzina sławia be ośia — i ośiół wychodzi we wszystkie kombinacjach.

W wagonie dziesięć jakiś pasażer, pociąg zahamował nagle, pasażer przeraźli się, skoczył na równe nogi. Wszyscy pytają zaraz: Co ci się stało? I głośno lub podcicha kombinują bi-cho. Ciągła garacy chimarrao, a mały brazylijski pociąg spęta, zgrzyta gwizdząc — jedziemy coraz dalej na zachód.

Kuba się niecierpliwi. Zauważyła go długa podr-żo, osłałbilo gorące, zmęczyła żywo rozmowa współtowarzyszy. Kuba chce zobaczyć puszcza, zielone serce Brazylii serbosa. Ale w Caccador-es bedziemy dopiero jutro rano. Stamtąd trzeba nam jeszcze trzy dni jechać na mułach.

Inferno verde — zielone piekło — to najwła-ściwie chyba dla serbosa okrzędo. Zwarto, zielona ściana, przez którą się sposób przebie-żo swobodnie. Długim nożem łaso wyciąć trzeba wąską ścieżkę, picade — i motornie, powoli, posuwaj się wglęb. Co krok czepiają się kolcz-aste pęcznie, samochytry targają ubranie, rżają ciało, które potem ropieje i źle się goi. Jakkie ściele, salwetkowe łożo o słodko-trupiej wani czepiają się do ręk i twarzy, przylega-ją tak ściśle, że niemal wznębiają w skóre, wy-wolują gorączkę i wreszcie tąg niewidzialną owadę, niewidzialny wrój czyba w nierucho-tym łożysku mroka, przez który trzadka tylko od górnych końców drzew przedziera się smuga słoneczna, niby zielona mgła. Niemal każde drzewo jest łone, każde oddmiennego gatunku.

Jest drzewo pau da bugie. Wystarczy przejść w jego pobliżu, by ciało osypało się, wrozdami a gorączka trwałła wnetrżności.

Jest drzewo, którego białe kwiaty, jak kule świecą w nocny fosforycznym blaskiem i zwabiają ptaki nocne i tmy na kleiste liście.

Jest drzewo. — Jest drzewo miliony. Skuloni-ny, splecione galeje, krzewy, trziny, liany, pa-szety tworzą skłębioną, zieloną zwł. Jedne ro-śliny giną, inne z nich i na nich wyrastają w-wysięgi, ciągle, jakby w jakim szwał obłaka-ny. Na zbudowanych pniach kwiatów obrzynają, cudowne niochle. — W podobnie szamoczą się niewidoczne strumienie, bągniste rzeczki pod-mulają grunty, martwe sadzewki ukęzają w cha-czekach czarne oko — siłdłoko żółtej łby.

W górze trzępają się niebieszczone śdła pa-pug, jedne z nich małeńkie, szmaragdowe. —



inne — ogromne płaszyska o bajecznie kolorowym upierzeniu. Białe flamingi stoją w wodzie nieruchomo na jednej czerwonej nodze, jak na trzcini. Grobodziobe tukany, kolbry wielkości orzecha, wesołe picapan'y, gualtary, kocio dusze, graje i tysiące wielobarwnych skrzydlaczy uwijają się bez przerwy, nawaluje, goną... Wśród lasu i splecionych gałęzi zwisają ciężko szare, nieruchome cielska leniwców. Na mulistych brzegach rzek leżą sennie aligatory. W kępowach traw i trzciny grzeją się na słońcu jadowite węże, zwinięte w ciasny kłębek. To puszcza.

Tu, w puszczy, żyje szczególny leśny naród — kabokle. Ród swój wywodzą od pierwszych konkwistadorów, zmieszani z murzynami i Indianami mają różne odcienie smagłej skóry, żyją przeważnie z polowań, z tego co dostarczą las i rzeka. Mieszkają w mizernych domkach, czasem skleconych z desek częścię uplecionych z trzciny, bez podłogi i pieca — nie uchroni taki domek od zimna, najwyżej zesłoni przed deszczem.

W chłodną, sierpniową noc, gdy od wyikrzonego nieba dmucha suchy ziąb, kabokło ubrany w jedną koszulę i cienkie portasy kraczy się i trzęsie. Nie ma ciepłego domu, ani okrycia, jedynym ratunkiem jest ognisko. Płonie na środku łąki, duże polana pykają i trzeszczą, wesołe iskry odskakują na boki i głąw w mroku. Dokoła na siemi siedzą kabokle, obracając od czasu do czasu koscinałce ciała. Piją chimarrao. W okoponym imbryku woda bulgocze bez przerwy. Gospodarz dolewa wrzątku, leje powoli po metalowej bombie, by nie zaparzył matę. Duża zakręcona ciuta wędruje wokół ogniska chwytana głodnymi rękami, gorący napój rozgrzewa omdlałe członki. Pochyleni nad ogniskiem kabokle gwarzą... Leśni ludzie są ciś, nie lubią hałasu, nie śmieją się, nie przegadują, raczej milczą, drzemiąc nad ogniskiem. Jeden powie słów kilka, drugi rzuci słowo, z puszczy doleci krzyk koczującej ołfary, ślina w bombie zawaczy cichutko... Sama tworzy się, wylania legenda brazylijska...

Pólsówkami, pojębkami rozgrzany mi gorz-
kóm szymarowem, pojębkami rozgrzany mi gorz-
kóbkólska historie. Mówią o wielkich lo-
wach, o myśliwych, co polują na zwierzęta i
ludzi. Niewolnictwo w Brazylii już dawno
zniesiono, ale w serotonie, głęboko w puszczy,
różne dzieją się rzeczy, których reszta świata
nawet i nie przeczuwa. Rosło tu kiedyś i kwit-
ło ponure państwo Jezuitów, warowne grody,
osiedla, miasteczka, jak w żywe serce wrywały
się w puszcze, kietowane twardą ręką zakon-
ników. Mnogie rzesze Indian pracowali tu
dniami i nocą, bez wytchnienia. Toczyli ogromne
kamienie na wieże i mury klasztorne, tylko
łańcuchy dźwigiwały, uderzając o glazy, bo bar-
dziej krnąbrni skuwani byli grupami na za-
wzię. Dwa razy dziennie dostawali jeść, raz
w tygodniu o zachodzie słońca odrzuwały się
drewniane klekoki: wtedy mężczyźni mogli
zbliżyć się do swoich kobiet. Indianie marli
z chorób i wycieńczenia, gorąca krew indyjska
buntowała się srodze i srodze jeszcze była
pokrzamiana. A czas mijal i upominał się
wreszcie o swoje. Długo tłumiona krwawa
ludzka nienawiść i zielona puszcza zwyciężyły
zakon, większość wycięto, reszta uciekla w
popłochu — a potem... Zarosły drogi, szlaki,
murowane trakty, rzeki i strumienie zamulły
ślady, mchy, paprocie, olbrzymie drzewa wdarty
się w opuszczone ulice, place i budynki. Co
dzień, co rok posuwały się dalej, a wreszcie
i śladu nie zostało po ludzkich nędznych,
puszcza odebrała spowrotem to, co jej przed
laty wydało. — Ale tu i ówdzie, w najzapa-
dniejszych kątach zielonego piekła, owały pono
jakieś nieznanne, starożytno miasteczka, lasem
odcięte od świata. Otoczono zielonym murem
ciągnącym się wokół na setki kilometrów żyją
do dziś swoim własnym zamkniętym życiem,
nie przeczuwając nawet świata. Przedrzeć się
przez puszcze na takiej przestrzeni jest rzeczą
prawiemożliwą. Podobno bandeiranci w
swoich śmiałych wyprawach trafiali do tych
miasteczek, brak jednak bliższych danych, bo
i z bandeirantów mało kto powrócił.

Płomień tańczy po łąbie, cienie migają jak
cmy, żużle czernieją, piszcza załośnie... Na Po-

co Preto przy samej wodzie stoi muiowana
kaplica. Stara już bardzo, tyk nonlatuje, mchy
pokryły ściany, ale drzwi jeszcze są mocne,
okosta gruba, żelazne. Co jest wewnątrz —
nikt nie wie. Mówią, że wycięcie stamtąd nie-
zrozumie, że Jezuiti, gdy uciekali... Zbadać nie-
łatwa, kaplica mocna, drzewi grube, każdy ka-
bokło omija ponurą budowlę. Mówią, że w
czerwcu, na nowiu... Deuze compadrei oglęł
gafnie, nie wymów w zią godzinę.

Rzucają nowe polana na dogasające ognisko,
płomień strzela wysoko, iskry się wpyła... Ka-
bokle piją chimarrao, palą fumę bez przerwy,
opowiadają o mrówkojadach i jaguatach. Nie
chwają się, nie oszukują. O jaguarze mówią
jak o złym sąsiędzie, którego trzeba prechy-
trzyć, nazywają go poprostu „bicho grande” —
wielki robak. Był raz kabokło Amarro, co z
nożem chodził na jaguary. Jego nie ma przy
ognisku, ale jego sława tu siedzi, bo to był
prawdzy walentao. Miał dobre psy, gdy wy-
tropiły jaguara, ujadły mocno. Amarro siedł
z długim facem nę naprzeciw. Nie chłonil się,
nie ukrywał, szedł naprzeciw, oko w oko, uwa-
zał tylko i wszystkich przestraszał, aby nigdy
nie iść pod górę. „Zawsze z górą, zawsze z gó-
ry, jaguar w dole opędzą się przed psami, a ty
z góry schodzisz na niego. Inaczej, rzucił się,
i jeśli nie zabije na miejscu, to zadanie i sa-
mym ciężarem polamie ci kość”. Jeden chwyl,
jeden ułamek sekundy, nóż pewną ręką goźli
nieomyślnie... Amarro walentao! Czy to może
być prawda? — Kabokle niezdecydowanie ki-
wają głowami, noc jest chłodna, trzeszczą po-

O tej porze jaguary wychodzą na łowy. Krę-
pe, centkowane, o potężnych łapach przemyka-
ją lekko wśród trzciny takuury. Wielkie, nie-
zdarne tapiry suną ku jeziorom i rzekom. Pło-
we pumy, jaguaterki, mrówkojadcy, oceloty,
bezzęzlaste lęd na żer. Ogromne węże dusi-
cielnie czalują przy wodopojach.

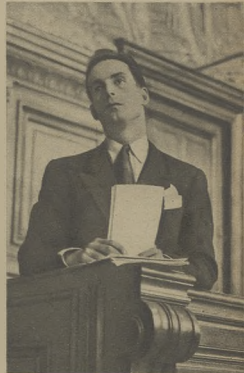
O tej porze drzemiamy z Kubą w różowym
żarze ogniska. Tylko kilka dni drogi dzieli nas
od Caccadores, a jakby się za nami pół świata
zawallo...



22 kwietnia



We Włoszech trwają olbrzymie manifestacje ludowe skierowane przeciw kapitalistom, którzy wypługwali się faszyzmowi i ciągnęli olbrzymie zyski z dostaw wojennych, po upadku zaś Mussoliniego odnowili kontakty z koncernami zagranicznymi i pewni bezkarności, w dalszym ciągu uprawiają rabunkową gospodarkę. We Włoszech wciąż jeszcze istnieje nowoczesne niewolnictwo np. w formie dzierżawy ziemi, której dzierżawca nie może opuścić, będąc przywiązany do niej kontraktem i długami. Jednakże — jak głosi transparent — „cierpliwość robotników ma swoje granice”. Będą oni walczyć z reakcją, która organizuje oddziały zbrojne do walki z demokratycznym rządem de Gaspariego (ta tożsamość grupa poniej — to sztab jednej z tych organizacji, „nakryty” przez policję), jednocześnie zaś rząd prowadzi ostrą kampanię przeciw spekulantom i czarnogieldziarzom, wypalając ich na ulicach.



Z podobnymi problemami boryka się również Francja, która wprowadziła bardzo ostrą racjonalizację żywności i ustanowiła karę

śmierci za szczególnie jaskrawe wypadki spekulacji. Problem kolaboracji z Niemcami jest we Francji szeroko dyskutowany. Mimo skru-

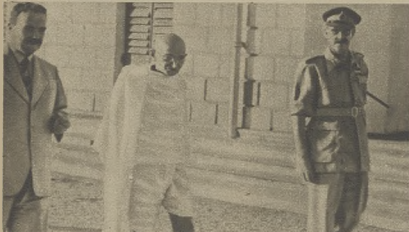
chy denuncjacji (na zdjęciu: Emil Maronzi przed sądem w Paryżu), lud francuski domaga się surowego potraktowania zdrajców.



Emigracja londyńska, która nie uznaje Rządu Jedności Narodowej, posiada nie tylko swoją własną „radę ministrów”, ale i — króla. Jego Królewska Mość Władysław V, król Węgier, Polski i innych terytoriów — hrabia Geoffrey Władysław Varle „Potocki” — paradyje po mieściezku angielskim Islington w czerwonym berecie i koronie, nie zostaje się ze swastyką i tajemniczym orderem. Pragnie on powrócić do Polski — i objąć tron.



General Anders też chciał wrócić do Polski — na białym koniu — aby zaprowadzić w niej faszystowski rząd. Białych Koni wprowadzić nie brak, ale Anders nie wrócił i nie wróci. Ten ambitny dowódca okazał się zdrajcą, działającym świadomie na szkodę Polski. Ponosi on odpowiedzialność za tułaczy los tysięcy żołnierzy z pod Tobruku i Monte Casino. W Korpusie Przysposobienia, którego celem jest przygotowanie żołnierzy do pracy w kopalniach, na roli i w miastach Anglii i Dominów Brytyjskich, general Anders objął naczelne dowództwo.



W Kalkucie, Bombaju i innych miastach Indii wybuchły olbrzymie rozruchy muzułmańsko-hinduskie. Władze angielskie nie mogą opanować sytuacji, poprosiły legendarnego przywódcę Indii, Mahatmę Gandhiego, o inter-

wencje. Gandhi spotkał się z wyższymi urzędnikami angielskimi i udał się z nimi do Kalkuty, aby uspokoić tłumy. Jednakże filozofia jego, propagująca bezczynność i polubowość w zaiatwianiu drażliwych sporów, nie zawsze



odpowiada głodnym i zniedołężnionym Hindusom. W Kalkucie rozbijano sklepy, wznoszono barykady, na ulicach padły tropy. Oto tłum pali samochód.



Aby się dostać z Londynu do Przyładka Dobrej Nadziei potrzeba okragło — dwu lat. Na taki okres czasu bowiem wykupiono wszystkie bilety na okrętach, kursujących po tej linii. Paru przedsiębiorczych londyńczyków, którym

spiesz się do krewnych w Afryce, postanowio odbyć tę drogę — samochodem poprzez Anglię, Francję i Afrykę.

Trudności komunikacyjne są bardzo dotkli-



Były król Anglii, obecny książę Windsoru, wstawiony małżeństwem z rozwódką amerykańską, p. Simpson, udaje się do Scotland Yardu: cło ukradzione mu w Londynie bardzo cenne klejnoty. Powojenne rozluźnienie obyczajów daje się bardzo we znaki...



W rutnach wspaniałej biblioteki w zachodnim Londynie, zburzonej przez hitlerowskie bomby, naukowcy grzebią w ocalałych książkach. Głód dobrej książki daje się odczuć na

całym świecie. Nie trzeba zapominać, że właśnie Niemcy palili u siebie książki i niszczyli dzieła kultury innych narodów.



W Londynie brak książek i okrętów, w Berlinie — węgla. Mieszkańcy noszą na plecach drzewo z lasów podmiejskich. Nikomu z nich nie przyjdzie jednak na myśl, że to właśnie oni — Niemcy — są sprawcami swej własnej biedy.



Górnik niemiecki w Zagłębiu Ruhry żegna się ze swoimi dziećmi, idąc do kopalni. Miejszka w piwnicy, podobnie jak wielu robotników w zrujnowanych portach Francji, w zombiar-

dowanych miastach Anglii, w Warszawie. Za okratowanym oknem uśmiechają się do niego jego dzieci.



Oby się tylko nie podniosła kratek! Do Londynu przybywają nowe zwierzęta na miejsce zabitych przez bomby niemieckie. Oto tygrysy indyjski, podarowany Londynowi przez jednego z książąt hinduskich.

Wzdłuż berlińskiej Alei Zwycięzców, stynnej Sieger Allee, ozdobionej posągami wodzów niemieckich, rozbitej bombami i pociskami sprzymierzonych, paradują na pięknych koniach pokonani — arystokraci niemieccy — zupełnie, jak za dawnych czasów. Tylko Fryderyk Wielki, zacięty wróg Polaków, twórca „dryllu” pruskiego — nie ma głowy.



Czy ten człowiek będzie głową Niemiec? Jest on przywódcą wielkiej partii politycznej rzekomo demokratycznej, ale w przemówieniach nawiązuje do polityki Hitlera, Bismarcka, Fryderyka Wielkiego — żąda „przeźreni życia”.

To Kurt Schulmacher, który chce być nowym fuhrerem.



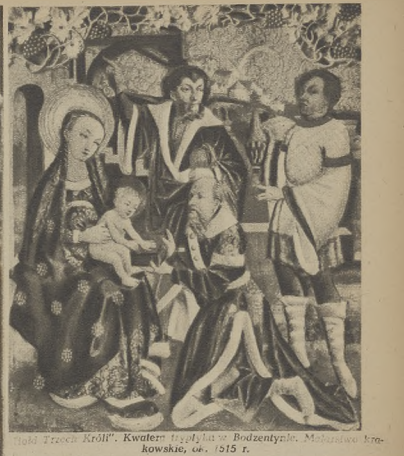
„Adoracja Dzieciątkła”. Kwadrat tryptyku Wielkopolska ok. 1530 r.



„Adoracja Dzieciątkła”. Kwadrat polptyku w Sanktu w łowosko prywatnej. Malarswo krakowskie, 1490 r.




„Adoracja Dzieciątkła”. Kwadrat polptyku w kościele farym w Olszawie.



„Adoracja Dzieciątkła”. Kwadrat polptyku w Bodzentynie. Malarswo krakowskie, ok. 1615 r.



„Adoracja Dzieciątkła”. Kwadrat tryptyku w Muzeum Diecezjalnym w Toruniu. Malarswo sudeckie, ok. 1430 r.



Wszystkim Czytelnikom i Sympatykom pisma Najserdeczniejsze Życzenia Święteczne składa

REDAKCJA

Prof. Michał Walicki
BOŻE NARODZENIE W POLSKIEJ SZTUCE GOTYCKIEJ

o Noc Świętą, noc parną i ciepłą, od wschodu na południe idącą, ogarnia stajenkę Betleem. Są to pierwsze chwile Zbawiciela po przyjściu Jego na świat. W sztuce chrześcijańskiej — a przez to i w polskiej — opowieść o nim nie ogranicza się do jednej, wyłączonej koncepcji, lecz rozgrywa się na kilka samodzielnych tematów. Rozróżniamy w niej mianowicie cztery zasadnicze kompozycje: Narodzin Chrystusa, Pokłonu Pasterzy, Holdu Trzech Magów i Adoracji Dzieciątkła przez Marię. Tak więc, miast jednej, otrzymujemy cztery następujące po sobie sceny. Pierwsza odbywa się w stajence, czyste podcieniami starożytnych zwalisk romańskich lub jeszcze antycznej budowli, przy czym Najświętsza Panna i św. Józef trwają w kontemplacji cudu. W drugiej widzimy przykłych w wykuszone okna pasterzy — chłopów i mieszczan okolicznych — których przywołała do tej betleemskiej stajni wybrażania

współczującego im artysty. Scenę trzecią wypełnia gwarny orszak Trzech Magów, zaś scena czwarta, to już tylko scena adoracji, adoracji wyłączonej, najgłębszej i najczystszej, Narodzonego Dziecka przez Matkę. Zakorzeniona od dawna i bardzo już stara jest polska obrzędowość Bożego Narodzenia. O jej dawności mówią piękne kościelne i teksty przedstawień misteryjnych, te ostatnie z późniejszych już coprawda czasów (XVII w.), jak również datujące się jeszcze z średniowiecza, a kulturowane zwłaszcza po klasztorach bernardyńskich, jasełka. Piętnym dla sceny „Świętej Nocy”, właściwy ludzizm średniowiecza, sprawniwił, że w coraz to nowych ujęciach przewija się jej cudowne wydarzenia w malowidłach gotyckich ołtarzy; niepospolite tego ilustracje wydała też i sztuka polska opowiadając plastycznie o cłwilach Adoracji i Holdu w sposób bardziej lakoniczny może od sztuki zachodnio-europejskiej, lecz chyba

bardziej przez to awiny sentymentem i spokojnym czarem prostoty. Drewniana szopka o liniach najprostszych, wciśnięta pomiędzy załomy skał, podobnie jak na bizantyńskich miniaturach, uboga wiązka zębnych traw, umarłej przyrodziewy męja i czerwca służąca za postanie, wół i osioł, najgładsze z całej żywym bydlęta, parę sprzędów i wreszcie samotna, kłęząca w skupieniu postać Dziewiczej Matki — oto scenariusz najstarszego holdaj malowidła, jakim jest kwadrat tryptyku z Ptaszkowej. Idealistyczny układ tej sceny, zmienny jest dla całej pierwszej połowy XV stulecia. Nieznacznie jej ożywienie natytkamy u progę drugiej postępy, kiedy to nieznanzy z imienia malarz wielkiego ołtarza krakowskich Dominikanów rzucił ją na tło daleko biegnącego krajobrazu, przez boczne okna przesu-

nie zaciekawione twarze pasterzy, zaś w przeszłości widać postacie anielskie. W ostatniej ćwierci stulecia napierający zwycięsko prąd realistyczny zawazył na tłumnej reakcji scen Adoracji: Pasterzy i Magów oraz zwiększył akcenty wystawności, przepychu i dworskiej nieledwie elegancji. Zwłaszcza scena Holdu Królów, wyposażona czasem w tłumne kawalkady, obituje w dosadne akcenty realistyczne. Moment samotnej, matczynej adoracji ustępuje teraz coraz to częściej scenie Pokłonu, tematowi jakże wdzięcznemu dla wzburzonej, na nowo wyobraźni plastycznej, głodnej nowych, realistycznych wzruszeń. Ogromna osobowość Stwostra wstrząsnęła przecież w sposób potężny dawną, idealistyczną strukturą sztuki. Lecz mimo całej opartej teraz

o wzory rzeczywiste scenierii, trwa po dawnemu nienaruszony, wysoki ton powagi i skupienia, nierozładowany, jak było to nieraz w sztuce włoskiej czy niderlandzkiej, akcentami scen rodzajowych. Po dawnemu przystępują w najgłębszym pokorze królowie do objawionego im Króla Nieba i Ziemi, któremu za tron służą sładkie kolana Matki, za koronę świetlista aureola, za berko łagodny i miłosierdzie czyniący ruch malej dłoni Dziecka. Kłęką swobodnie król Kasper, przywierając ustami do zwisającej ręki Jezusa, pochyla się w pokłonie Baltazar, mąż w sile wieku zdejmując z głowy nakrycie, dwudziestolenni, młodzieńczy Melchior, ostatni, jako najmłodszy z władców, składa swe holdy rycerskie. Noc Świętych Narodzin należała do tematów komentowanych najwięcej w sztuce średniowiecznej, sztuce nie tak bardzo może odległej od naszych dni, jak nie raz to sobie wyobrażamy. Misterium temu, rozwijającemu się na lewej stajni, ilekroć służyła ona za temat pędzla czy dłuta, towarzyszyła oddajna, nieprawie dalszy jego akt —

Hold Trzech świętych Królów, ze złotymi naczyniami w ręku, tak dziwnie pięknie wyglądających przed ubogą stajnią judejską, a tak obco czujących się na tle marmurowych ruin, które pierwszy przedświt renesansu wprowadził jako tło całej akcji. Przypominamy tedy, że trzej ci Magowie z nad brzegów dalekiej rzeki Saby, których imiona greckie są Appellus, Amerius i Damaskus, zaś hebrajskie Galgalat, Malgalat i Sarasin, łacińskie zaś Kasper, Melchior i Baltazar, przybyli do Betleemu, aby hold oddać Świętemu Udostruwa a nie złotu. A jadąc na dromaderach trzynastcie dni i nocy, prowadzeni byli przez gwiazdkę będącą nowostworzonym ciałem niebieskim, która spełniwszy swe postannictwo wróciła w łono materii powszechnej. Przybywszy zatem do szopy tej lichej, potężni posiadacze wszystkiego ofiarowali Dzieciątka w miłości złoto, kadzido i myrrę, jako symbole Jego Boskości, Czołowieczeństwa i Dojności królewskiej. Po czym powrócili do swych krajów, wiedząc, że odnalazł Króla w ubóstwie i Świętość w prostocie.



Stanisław Ryszard Dobrowolski

...A POKÓJ NA ZIEMI...

Śnieg padał coraz to gęstszy — i świat przez oszklone drzwi knajpy wydawał się Kajetanowi jakgdyby z fantazji Walta Disneya. Kajetan parzył wargi gorącą herbatą, od czasu do czasu rzucał spojrzenie nad sąsiednim stolikiem zegar, z którego właśnie przed chwilą wydobywać się zaczęły jakieś zgrzytliwe dźwięki — i zegar powoli i uroczyście wybił godzinę dziesiątą. Było jeszcze dużo czasu, wobec czego Kajetan mógł dać się swobodnie oddawać się swoim bezinteresownym obserwacjom przez szybę w drzwiach. Biel grudniowego przedpołudnia, monotonnie opadające ciężkie platy śniegu i jak gdyby senny wśród tej pierzastej topliery ruch w rynku doskonale uspakajały podniecenie Kajetana, nadając powolniejszy rytm jego myślom. Niewiedzieć jak i kiedy poczuł się tu dobrze w tej pustej i niezbyt czystej garkuchni czy szynku.

— Jestem w Łowiczu, — myślał — w nielichym niegdyś mieście, sławnym do niedawna ze znakomitych parówek, najznakomitszych chyba na świecie. Ale nie tylko chyba z parówek, bo i ze znakomitej kolegiaty, niegdyś siedziby prymasów Polski.

Kajetan przypomniał sobie, że na miejscu dzisiejszej budowli kościoła Najświętszej Marii Panny — okazałej i bogatej — stał tu jeszcze przez książąt mazowieckich wzniesiony kościół z drzewa, że w szesnastym, złotym wieku polskiego renesansu związały się z dziejami łowickiej kolegiaty wspaniałe nazwiska Łaskich, Uchańskich... Przypomniał sobie, że wogóle Łowicz to nie było co, nie taka tylko „dziura”, jak się to o nim mawia.

Te historyczne rozważania przerwała Kajetanowi scena na ulicy, która zmieniła kierunek i rytm jego myśli w spo-

sób tak gwałtowny, że Kajetan aż wzdygnął się i brzeg podniesionej do ust szklanki wyraźnie zadzwonił mu o zęby. Tuż za drzwiami w ulicy przesuwać się zaczęły w szybie jedna za drugą sylwetki żandarmów. Szli z podniesionymi kominami i płaszczów, zaśnienzi, świecąc mokrymi policzkami zaczerwienionymi od chłodu.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — Kajetan naliczył aż tyle par opasyłych pysków, tyleż zawieszonych przez ramie automatów — i momentalnie przytomnił sobie na co tu czeka. Trzeba było zachować więcej ostrożności, żandarmi mogli przecież zajrzeć do tego właśnie szynku, mogli zainteresować się zgola nieproporcjonalnie wyglądającym „turystą”.

Kajetan jeszcze raz rzucił okiem na starożytny zegar, sprawdził czas na własnym zegarku. Miał jeszcze pół godziny z hakiem. Zapłacił rachunek stojącemu za bufetem gospodarzowi i wyrwał na ulicę. Żandarmi majestatycznymi, czeskimi krokami oddalali się w bocznej uliczce, rynek prawie że opustoszał, droga w kierunku kolegiaty była pusta.

— Jest sposób! — pomyślał Kajetan. — Właśnie pójść do kościoła. Tak będzie najlepiej.

We wnętrzu słabo oświetlonej nawy Kajetan rzeczywiście poczuł się bezpiecznie.

— Pociąg przychodzi przed dwunastą — medytował — i przed dwunastą dopiero przyjedzie Zygmun. Tu przedsiądę pół godziny. —

Zadecydowawszy w ten sposób Kajetan znów pozwolił sobie na odcięcie się od oczekujących go spraw i wydrzeń — i z całym upodobaniem oddał się ulubionym obserwacjom miłośnika dawności. Właśnie zwrócił jego uwagę wspaniały sarkofag z alabastru,

na którym w niezbyt dogodnej pozycji spoczywał kamienny mąż w szatach pontyfikalnych, w infule i z pastorałem. Nad sarkofagiem aniołowie unosili tarczę herbową kościelnego dostojnika. Jakiś spokój wieków płynął od tego monumentu, spokój, przy którym nagle wywołane przez wyobraźnię postacie niemieckich żandarmów wydały się Kajetanowi czymś godnym całkowitego zlekceważenia.

Kajetan zasiadł w ławce tuż obok sarkofagu i rozzerzał się po kościele. Teraz dopiero dostrzegł, że świątynia była hojnie przyozdobiona gałązkami jedliny, a przy jednym z bocznych ołtarzy krzatali się jacyś ludzie wokół dekoracji wyobrażających stajenkę betleemską.

— Jasełka — wzruszył się Kajetan. Właśnie dwaj młodzi chłopcy wspiniali się na drabinkę i rozwiźali wielką wstęgę z napisem, którego kilka słów udało się odczytać Kajetanowi: ...a pokój na ziemi! I znów żandarmi jakgdyby za szybą szynku minęli w imaginacji Kajetanowej. Pokój na ziemi. Teraz Kajetan widział wyraźnie okna domostw małego miasteczka rozjarzone światelkami choinkowych świeczek, słyszał srebrne głoski kolendujących dzieci i radosne oklaski, wywołane widokiem brodatego „alekrysta” obładowanego gwiazdkowymi podarunkami. „Alekryst” jednak miał kamienną twarz prymasa Uchańskiego z sarkofagu, jego infule i pastorał — i wciąż z niepokojem spoglądał w okno. W pewnej chwili posagłowe spojrzenie „alekrysta” padło na stojącego za oknem Kajetana i Kajetan doznał przesywającego uczucia mrozu... To go otrzeźwiło. Prawie automatycznie sięgnął po zegarek. Trzeba było iść na stację.

Zygmunt przyjechał do Łowicza. Przyjechał i skoro tylko dostrzegł Kajetana i wymienili kilka zdawkowych słów powitania, ujął go za ramię i zapłtał:

— Widziałeś, ilu zielonych w miasteczku? Nigdy ich tu tyle nie było! —



— Skąd wiesz? — odparował Kajetan. — Na stacji niema ani jednego zandarma. —

— Ech! głupi! Wiemy wszystko. Też sobie wykombinowali. Właśnie w wigilię. Wielki nalot tych szubrawców na miasteczko — pochylili mi się do ucha. — Byliśmy zdążyli na czas! —

W piętnaście minut po tym chłopka furmanka wiozła szosą w kierunku Warszawy dwóch młodych ludzi.

Widzicie, — gawędził żywo z chłopem poganiającym koniska Zygmunt — mamy jeszcze ładnych parę kilometrów od szosy do domu. Stylszeliście o Zawadach? —

Chłop nie słyszał nic o Zawadach, dokąd udawali się nasi przyjaciele na święta do zamożnego krewniaka, kręcił głową i doradzał ostrożność. Mimo świąt widział patrolę zandarmskie na bryczkach, kiedy rano jechał do Łowicza, widział, jak rewidowali furmanki na szosie i legitymowali przejeżdżających.

— Panowie z Warszawy, to może być źle — zakończył.

— My w Warszawie tylko na fabryce, ale sami z Zawad — wyjaśniał Kajetan.

O tych Zawadach chłop jako żywo nie słyszał i wciąż kręcił głową.

— To taka kolonia, jakże to nie stylszeliście? A Zawadzkich z Bondziszyna nie znacie? — pytał Zygmunt.

Zawadzkich znał — i teraz dopiero skombinował gdzie to. Rzeczywiście, zupełnie w innej stronie. On na trzynastym kilometrze skręcał w lewo, Zawady będą na prawo. Ale to bardzo daleko!

Na trzynastym kilometrze pojeźniali się z chłopem i ruszyli w prawo.

Kiedy w parę godzin po tym zapadła zmierzch, szosa była pusta i żaden pojazd nie ukazywał się od dłuższego czasu na trzynastym kilometrze. Śnieg padał mniejszy niż do południa, zato mróz zabierał się ścisnąć — i jasność wigilijnego wieczoru kładła się na pustą przestrzeń dokoła. Tylko niewielkie zarośla tuż prawie koło drogi szarzyły ciemniejszą plamą. Życie dokoła zamarało i zamilkło — pokój był w naturze krajobrazu.

Około godziny szóstej śnieg przestał padać zupełnie, resztki chmur jakgdyby rozsunały się zupełnie i pierwsza gwiazda ukazała się gdzieś wysoko na sklepieniu nieba. O tej samej porze na szosie od strony Warszawy ukazały się dwa duże auta. Jechał bez światła z dość dużą szybkością. Kiedy z za zakrętu wypadły, zwałniając nieco i znalazły się tuż naprzeciw zarośli przy trzynastym kilometrze, majestatyczna ciszę rozdarły wstrząsy szybko po sobie następujących wybuchów i zaterkotały karabiny maszynowe przy szosie. Auto zahamowane gwałtownie uderzyło o siebie z ogłuszającym trza-

skiem, staczając się do rowu i wśród błysków eksplozji dojrzeć można było tylko walcące się przez bariery ciężkie sylwety SS-mannów wśród nieludzkiego wycia górującego ponad wszystkim w krótkich przerwach pomiędzy odgłosami wybuchów i suchym trzaskiem automatycznej broni.

Teraz dopiero z zarośli wynurzyło się kilkanaście cieni i w szybkich skokach dopadło szosy.

— Uważajcie, żeby ani jeden się nie wywinął! — krzyczał Zygmunt i wyciągnął pistolet, kierując go w pierś jakiegoś niskiego, grubego SS-manna usiłującego wyplątać się z piekielnego kłębowiska.

Jeszcze kilkanaście strzałów i cisza, śmiertelna cisza zapanowała nad straszliwym pobojowiskiem.

Wigilijna ekspedycja Niemców nie dotarła do Łowicza.

Około godziny dziesiątej wieczorem Helmuth Schurke usiłował bezskutecznie uzyskać telefoniczne połączenie z Warszawą. Połączenia nie było. Widocznie na linii nastąpiło jakieś uszkodzenie i Schurke w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, czemu nie przybyły do Łowicza dwa zapowiedziane wozy z SS-mannami. Nie miał żadnych dyspozycyjnych na wypadek takiego obrotu rzeczy i rad nie rad postanowił jeszcze czekać godzinę. W domu czekała Elza i dzieci i matka, która przyjechała z Marienburga. Schurke spodziwiał się, że robota będzie skończona o ósmej, a tu wieczór wigilijny mija...

— Verfluchte Polen! — klął Schurke i znów bezskutecznie usiłował uzyskać połączenie z Warszawą.

Około północy Zygmunt z Kajetanem po długim, długim forsownym marszu polnymi drogami, przepokopując się przez niemale zasypy śnieżne, dotarli odprowadzani przez przewodnika w okolicie łódzkiej szosy za Łowiczem.

— Najcienniejszy jest pod latarnią — przekonywał młody chłopak Kajetana.

— Wrócimy do Łowicza. Zanim zrobi się piekło w mieście, u moich rodziców spędzicie wigilię. Zasułyście na zią właśnie w Łowiczu. —

— Człowieku! my ledwie trzymamy się na nogach. Czego ci się chce? — niby to obraził się Kajetan.

— Tam na nas czekają! — roześmiał się chłopak.

Przekraczając przez parkany i przemkając się ogrodami, dotarli wreszcie do celu. Nim weszli do ciemnej sieni domostwa, Kajetan odwrócił się w tą stronę, w której majaczyły w ciemnościach wieże łowickiej kolegiaty. Łowicz utulała cisza i wieże starej świątyni jak gdyby patrolowały spokojowi mieszkańców miasteczka.

— No, no! — pomyślał Kajetan, wchodząc do sieni — nie byłoby takiej ciszy wokół ciebie, kolegiato, gdybyśmy się spóźnili. —

Z głębi domostwa płynął przyciszony śpiew. To domownicy kończyli wieczere, nucąc słowa pełne powagi:

„Chwała na wysokości, chwała na wysokości,

A pokój na ziemi!...”

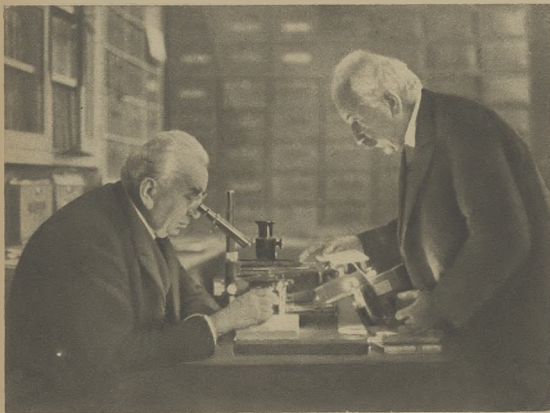
Za parę minut Kajetan siedząc w ciemni wigilijnego drzewka za gościnnym stołem przyjaciół, pochylał się do gospodarza i tłumaczył mu zawzięcie:

— Pokój na ziemi! Ie to jednak krwi musi wsiąkać w naszą ziemię, żeby przyszedł pokój dla tych naszych starych murów, dla tych wąskich starych uliczek i dla tego narodu, który tak ukochał swoje, że go nie odda za nic nigdy i nikomu. —

Spojrzał na choinkę i niewiedomo dlaczego wydało mu się, że się do niego uśmiecha papierowy „alekryst” — Święty Mikołaj, że się do niego uśmiecha dobrym uśmiechem starego humanisty Uchańskiego z sarkofagu łowickiej kolegiaty.

— A pokój na ziemi — dobiegają gdzieś z za ściany, od sąsiadów.





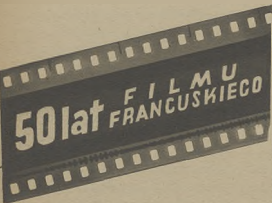
August i Ludwik Lumiere

Pierwsze filmy, które określiłbyśmy dziś mianem „długometrażowych” — ilustrują przede wszystkim dramaty serc, niesłychanie prymitywne i banalne historie małżeńskich zdrad itp. Bohaterowie podkrędlają głębie swych przeżyć wymownym przewracaniem oczu, okropnymi grymasami twarzy i przesadnym gestem. Laury pierwszej stawy filmowej zbierają jednak komicy ekranu z niezapomnianym Maxem Lindereem — sławnym komikiem francuskim, bohaterem przygód „niesamowitych” — na czele.

Gwiazdy kobiece dzielą się wówczas na dwie wyraźne kategorie: wampów o pięknie demonicznym spojrzeniu, przynoszących nieszczerście swemu otoczeniu — i uciśnionych niewiastek słodkich jak lukrecja, o „cieleczym” wyrazie twarzy.

Śmiejemy się dziś z pierwszych nieudolnych prób sztuki filmowej. A jednak w żadnej chyba dziedzinie życia i techniki (z wyjątkiem radia i telewizji) postęp nie był tak szybki, niemal hyskawiczny, jak w dziedzinie produkcji filmowej. Cóż za przepaść dzielą bracia Lumiere i pierwszych producentów filmów z lat 1900 do 1910 od tych mistrzów ekranu, którzy pojawiają się niewiele lat później w epoce przed drugą wojną światową — jak René Clair — twórca niezapomnianych filmów, znanych zresztą i w Polsce: „Niech żyje wolność”, „Milion”, Duvivier „Pepo le Moko”, „Poli de carotte”; Renoir „La grande illusion”, „La Bete Humaine”...

W okresie wojennym przychodzą do głosu nowe sławy reżyserskie, które zaczynamy poznawać na polskich ekranach: Becker, twórca „Skarbu rodziny Goupi”, grany niedawno w Warszawie; L'Herbier — twórca „Nocy fantastycznej”; Carme — znany nam z doskonałego przedwojennego filmu „Ludzie za mgiłą” — jest autorem uroczego filmu kostumowego z życia cyganerii paryskiej pt. „Dzieci raj”.



Zaczęło się od upartych braci Lumiere, Augusta i Ludwika, którym nie wystarczyła zwykła fotografia. Ponieważ zaś znali zasadę „ruchomych obrazów” (każdy dziecinak potrafi ukazać jej działanie na przykładzie szybko kartkowanej książki) i żyli w epoce intensywnego uprzemysłowienia świata — mieli wszystkie dogodne warunki, aby stworzyć film.

28 grudnia 1895 r. w podziemiach Grand Café przy Bulwarze de Capucines w Paryżu odbył się pierwszy seans publiczny, składający się z takich niebywałych przebojów jak np. „Wychłobnie robotnicze z fabryki Lumierów”, „Przyjazd pociągu”, „Przygody ogrodnika” etc.

Pierwsze „arcydzieła” filmowe bracia Lumiere wydałyby się dzisiejszym widzom bardzo niedołeżne... Obrazy były krótkie, prymitywne w treści, która zawierała zwykle „cyrkowe kawałki” (np. tesoru psów, walki bokserskiej lub popisy strzeleckie) — i jeszcze bardziej prymitywne w zakresie technicznego wykonania: obraz rwał się, migotał nieznośnie, przyprawiając widzów o ból oczu i głowy.

Z biegiem lat naturalnie technika filmowa ulegała ciągłym ulepszeniom. Obraz staje się coraz jaśniejszy i wyraźniejszy, autorzy filmów uczą się stosować rozmaite tricki filmowe, łączyć rzeczywistość z fantazją. Po braciach Lumiere przychodzi Melies — czarodziej, którego filmy są uroczym, faniastycznym snem na jawie, bajką dla dorosłych dzieci, pełne naiwne świeżości i poezji. Ucieczka od realizmu i prozy codziennego życia w krainę fantazji — przez długie lata cechuje francuską — i zresztą nie tylko francuską produkcję filmową. „Kobieta znikąd” Dulluc'a i „Śmierć słońca” Dulac'a są typowymi filmami tej epoki.

1906



1908



1917



1926



1927



1929



1931



Najnowszą twórczość powojenną — pokazała Francja na Festiwalu Filmowym w Cannes, który ściągnął niedawno na lazurowe wybrzeże najnowsze i najlepsze filmy z całego świata.

Sensacją współczesnej produkcji francuskiej jest obraz „Bataille du Rail” (Bitwa o szynę) film bez gwiazd i gwiazdów, ilustrujący walkę, jaką toczyli kolejarze-uczestnicy francuskiego ruchu oporu z okupantem. Prawdziwi kolejarze, maszyniści i robotnicy grają w tym filmie wszystkie role.

Filmem, o którym najgłośniejsze się mówi — jest „Symfonia pastorałna” Jean Delannoya a z Michele Morgan świetną artystką, znaną nam z przedwojennego filmu „Ludzie za mgłą” i Pierre Blanchardem. „Symfonia pastorałna” (Przeróbka nowelki Andre Gide'a) ilustruje tragiczne dzieje niewidomej dziewczyny przygarnięj z litości przez rodzinę pastora. Najwyższym sukcesem tego filmu są mistrzowskie sceny psychologiczne, obrazujące przeżycia duchowe niewidomej i jej zalamanie się w chwili, gdy odzyskuje wzrok konfrontując awę marzenia z rzeczywistością.

1937

1938



Za najciekawszy film — z uwagi na liczne eksperymenty malarskie, fotograficzne i reżyserskie — uchodzi według opinii uczestników festiwalu obraz „La belle et la Bête” (Piękność i bestia) osnuty na tej samej we Francji bajki dla dzieci o pięknym księciu zaklętym w potwora. Sensacją dla znawców sztuki filmowej stanowi fakt, że reżyserował go znany poeta i dramaturg Jean Cocteau.

Bliski trzecią naszym wspomnieniem okupacyjnym jest obraz „Le pere tranquille”. Bohater tego filmu to poczciwy, przeciętny Francuz, niepozorny szary człowiek, którego zainteresowania zamykają się głównie w ciastym kółku domowych spraw: hodowla kwiatów, życie rodzinne, gawędy z przysiąciami przy kieliszku... Niemcy uważają go za nieškodliwego człowieka, własny syn zarzuca mu obojętność wobec losów kraju i całej uciemiężonej przez wroga Europy. Okazuje się później, że ów skromny „szaraczek” prowadzi podwójne życie i jest bohaterem przywódcą podziemnego ruchu oporu, oddawna poszukiwanym przez Gestapo.

1942

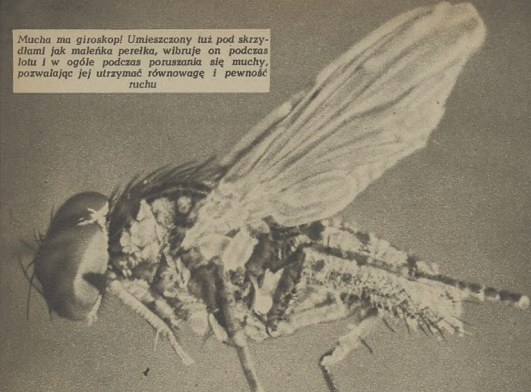
1943



Nowy układ handlowy polsko-francuski przewiduje duży import filmów francuskich do Polski. Już wkrótce będą wyświetlane na naszych ekranach wspomniane wyżej filmy „Bitwa o szynę” i „Dzieci rajju”, następnie „Boule de suif” film z epoki Napoleona III, „Falbalas” Beckera — z życia paryskich domów mód, „Klatka słowicza” — film z życia młodzieży, przeżywającej w domu poprawczym. Główną rolę w tym filmie gra popularny aktor francuski Noël-Noël — ten sam, który występuje w filmie „Le pere tranquille”.

Film francuski, podobnie jak literatura i marianstwo francuskie posiada doniosłą wartość kulturalną, a ambicją zamierzeń artystycznych i osągniętymi wynikami poróżnił daleko poza sobą standardowy film amerykański, mierzyc się może z filmem radzieckim, dla reżytry zaś krajów europejskich może być wzorem godnym do naśladowania, oczywiście naśladowania twórczego.

Mucha ma giroskop! Umieszczony tuż pod skrzydłami jak małe peregłki, wibruje on podczas lotu i w ogóle podczas poruszania się muchy, pozwalając jej utrzymać równowagę i pewność ruchu



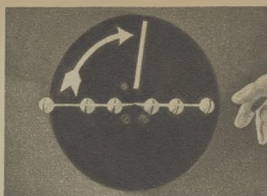
MUCHA MA GIROSKOP!

Muchy domowa, podobnie jak nowoczesne samoloty, uzyskują pewność lotu dzięki giroskopowi. Giroskop muchy składa się z cienkiego pręcika, zakończonych kulką, która drga od 160 do 210 razy na sekundę. Gdy mucha zbacza z linii lotu, giroskop stawia lekki opór. W ten sposób mucha może kontrolować zmiany kierunku lotu. Zasada działania giroskopu muchy odkryta została niemal przed wiekiem i zastosowana w normalnych giroskopach wirowych. Obecnie jednak inżynierowie wielkiego amerykańskiego Towarzystwa Giroskopowego zainteresowali się „urządzeniami” muchy, dowodząc, że giroskop, zbudowany na zasadach giroskopu muchy, będzie lepszy, pewniejszy i lżejszy od stosowanego obecnie. Ostatecznie giroskop muchy musi być dobrym przyrządem, skoro działa on niezawodnie od pięćdziesięciu milionów lat. Inżynierowie amerykańscy mają nadzieję zbadać dokładnie prawa, według których działa on i zastosować je w nawigacji powietrznej. Czy im to się uda? Kto dożyje, ten zobaczy.

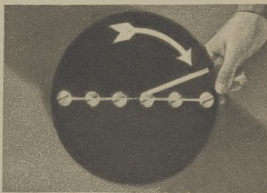
(LIFE)



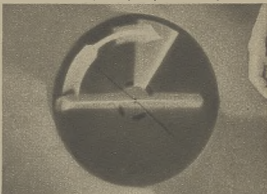
Mucha ma dwa giroskopy! Widać to wyraźnie ze zdjęcia górnego. Bez nich mucha traci zdolność poruszania się



..Wtedy giroskop wibruje (kółka tuż nałożonych na jedno zdjęcie dla pokazania prostej linii odchyleń)..



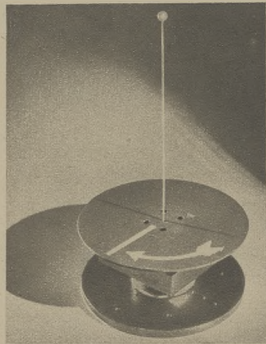
...a koło (muchy) — przesuwa się



Nawet wtedy, gdy koło kręci się, giroskop wibruje ściśle w jednej pozycji!



A oto ludzie badają działanie giroskopu muchy. W laboratorium technicznym bada się zastosowanie giroskopu muszowego do potrzeb ludzkich



Prosty model wyjaśniający zasadę działania giroskopu. Czarne koło — to mucha. Kulka na białym pręcie — to giroskop. Kiedy odgryziemy kulkę i puścimy...



NASZ WIEK XX

Pismo szwajcarskie „Servier” (nr 40) zamieszcza ostatnio artykuł, który wykazuje namalowanie krajów imigracyjnych. Z osiemnastu tysięcy ludzi, wysłanych w roku 1943 w głąb puszczy brazylijskiej celem zbliżenia mleka kauczukowego, wróciło ostatnio — je denastu. Inni padli ofiarą jadowitych węzów, malarii, zmczenia. Były szef policji stanu Sao Paulo, Joan Alberto Lins de Barros, człowiek, który jest odpowiedzialny za tę ekspedycję, stoi obecnie na czele spółki akcyjnej, która zamierza kolonizować eksploatowane tereny, używając w tym celu uchodźców z krajów europejskich...

„Polska: Świat” (nr 1).

Dzieci noszą bimber

W związku z zaostreniem przepisów w stosunku do handlarzy bimbram, próbują oni sprzedawać i przenosić większe ilości bimbru za pośrednictwem dzieci, demoralizując je w ten sposób i odrywając od nauki.

„Głos Ludu” (nr 319).



„Najgorszy raz”

Pik. Kostek-Biernacki, były wojewoda sanacyjny, twórca półległego obozu koncentracyjnego w Berezce Kartuskiej i komendant oławianej twierdzy w Brześciu, gdzie węguli aresztowanych przez Piłsudskiego posłów partii demokratycznych (słynny „proces brzeski”) — stanie wkrótce przed sądem Rzeczypospolitej.

„Normalny człowiek zawsze tęskni za mordem, choćby, w najgorszym razie, tylko za mordem owadów. Jest to najstarsza i najszaconiejsza tęsknota ludzka”.

Kostek-Biernacki „Djabel zwycięzca” str. 168.

O co walczyli Amerykanie

Jest rzeczą oczywistą, że jedną z wolności, o którą walczyli, jest wolność handlu.

W Willkie: One world (1943).

Mr. Hungerford zrobił sobie kiedyś zapas drogich cygar i wraz z innymi przedmiotami wartościowymi ubezpieczył je na wypadek włamania, pożaru i innych nieprzyjemności. Wypaliwszy zaś cygara zażądał odszkodowania: cuda z Hawany zostały w ogniu zniszczone i tym samym zawarta umowa weszła w życie.

Naturalnie Towarzystwo Ubezpieczeniowe wzbraniało się uznać szkodę, która — jeśli można tak powiedzieć — jest automatycznie związana z ubezpieczonym przedmiotem. Wobec tego Mr. Hungerford zwrócił się do sądu. Sędzia uznał ważność polisy a tym samym słuszność skargi palacza i przyznał mu sumę ubezpieczeniową.

Towarzystwo musiało więc zapłacić panu Hungerfordowi i uczyniło to, ale jednocześnie oskarżyło go o podłożenie ognia pod przedmioty ubezpieczone. Został on aresztowany i skazany na rok więzienia.

„San Francisco Sun”

Czytelnicy proszeni są o nadysyłanie krótkich, nie przekraczających 150 słów anegdot, informacji i cytatów, ilustrujących kontrasty obyczajowe, etyczne i kulturalne naszego wieku, zawsze z dokładnym podaniem źródła. Za każdą opublikowaną w tej rubryce anegdot Redakcja wypłaca przysyłającemu sto złotych. Listy prosimy adresować: „Świat Młodych”, Warszawa, Dworkowa 3, „Nasz wiek XX”.



Namiot, jak namiot, menażki, jak menażki, ale jeleni zrobiony z pnia brazy, skacze wspaniale.

W odróżnieniu od pospolitych jeleni (jelenius simplex) ma on też zaletę, że z przodu i z tyłu widzi jednakowo.



Kot zastępcy Kotów. Z J. Kotiem nie ma nic wspólnego. Od zwykłego kota różni się tym, że ma ogon z 10dełki.



Czarna wrona na strąży. Dlaczego czarna? Bo wrona. A dlaczego wrona? Bo jak napiszemy że kalorytę, to nie uwierzyicie.



Abolitus absolutus czyli mieszanie lasu z osmiornicą (łośmiornica). „Gdy Sobleski był sultaniem...”



Mu ogon i dwie nogi, a więc plak, kwesnia tylko jaki? Po długotrwałych sporach redakcja zdecydowała się sprawdzić w encyklopedii, w rubryce 38, jak podaje złączonego namiot. Okazało się, że to struś, i to nawet z synkiem. Widzicie tego malego piaski?

CZUWAJ

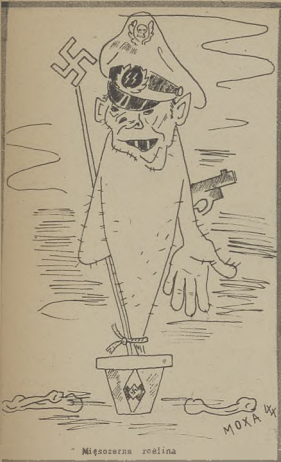
Bohaterkie „Szare Szeregi” przeszły do historii. Dziś Z. H. P. jest wolna, radosną organizacją młodzieży. Cwiki, młodziki, male włczki i jeszcze mniejsze zuchy tłumnie zapelnily tegocześnie obozy. Śmiechy, śpiewy, okrzyki, nosły się po okolicy przez cały dzień. Wieczorem, po apelu, gdy pogasty ogniska i brat harcerska zasnęła snem sprawiedliwych, oprócz warty czuwały przy namiotach nieruchome dzwiada, plaki i zwierzęta: tu sowa, tam wilk, obok kozioł... To godła poszczególnych zastępów — osobliwy rodzaj harcerekiej, obozowej sztuki.

Wykonane przy pomocy najprymitywniejszych środków, z kory i gałęzi, mają w sobie wiele artystyzmu, są przykrywyjące i żywe. Dowodzą raz jeszcze starej prawdy, że do tego, by powstała rzecz oryginalna i ładna nie trzeba cennych materiałów: hyleby dłoń była twórcza i głowie nie brakło konceptu!



Przemier Osiem, Komarka i Głowa harcerzy

FOTO-GAŁEWSKI



Nięgoczerza zeelina

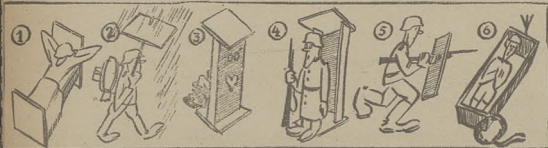


"BRANO WACI OSTEN..."

Dla ludzi, którzy czas okupacji spędzili poza krajem, wydać się może dziwnym i niezrozumiałym, iż w podziemiu, pod najstraszniejszym terrorem, jaki zna historia Polski — znaleźli się śmiółkowie, którzy naradzając życie — wydawali gazetki, humorystyczne. To tylko jednak pozorny paradoks, tu rozbieżność między grozą odpowiedzialności a niesforolnym pędem bohatera drukarza. Trzeba było bowiem być wówczas w tzw. Generalnej Gubernii, aby zrozumieć, że nad maltretowanym narodem zawisła groźba niemieckiej przerażającej plagi, ni wróg zewnętrzny, okupant — obawa apatii, zrezygnowania. Potencjał cierpień, ciągłych restrykcji, wzrastające różnice między niedzą i luksem spekulanciów — wszystko to spowodowało, że pograżaliśmy się w atmosferę czepięcnictwa. Trzeba było ją rozładować za wszelką cenę — bo żołnierz walczący nie może poddać się zmęczeniu, a walczący wówczas cały naród. Tu więc leży konieczność wskazania na komiczną stronę wszystkich przeżyć. Tak rozdzielił warszawski, podziemny żart — uśmiech przez łzy. A od żartu opowiedzianego — już tylko krok do pisemka, czy ulotki, co by satyrą chlostała zarówno Niemca, jak i tego rodaka, co o godności Polaka zapomniał. I ukazując się,



Neustes Wunder der Kriegstechnik! Eine u. dieselbe Pritsche dient als!



schlafstelle... Regenschirm... Abort... Wache... Schild... Herg.

Najnowszy cud wojennej techniki! Jedna i ta sama przyczyna służy jako: łóżko, parasol, klozet, budka wapieniwnicza, latczka i trumna



KAPUTT.

O Niemcach.

To uwadźdźnia się tylko w tym żarcie. Eu to przechodzi ludzkie pojście. Ze my kochamy Szkołów za-wzięcie, I oni nas — za-żarcie.

Żgadi

- Złapano szmuglera.
— Coś ty za jeden!
— Tulię się
— Volkadestuch!
— Nie!
— Ukrainiec?
— Nie!
— Ruśnin?
— Nie!
— Widzi mi się, że generały gubernator.

Niedobry Pan Bęcwałski

W restauracji bogaty pan Bęcwałski zjadł azyneć. W drzwiach stał zebrał chdarty i chudy i błagał:
— Panie, daj kawalek.
Bęcwałski nie zwraca uwagi, obliczając się smakowicie.
— Panie, daj kawalek — akamie niedzarc.
Władca loknu usłujie zebrał wyrzucić.
— Panie, daj kawalek, — wola ten od drzwi, — od dwóch dni nie jadłem.
Zniecierpliwiony Bęcwałski składa rączki na wystawionym brzuszku i błada żalownie:
— Co za człowiek, co za człowiek. Sam nie je i drugiemu nie da.

Stuznie.

Pewien jegomość załazł upraw „kennkarty” —
— Nawiało pana?
— Szuliz.
— Imię?
— ...
— Gdzie się pan urodził?
— W Berlinie.
— Jest pan Niemcem?
— Nie, Polakiem.
— Gdzie się pański ojciec urodził?
— W Berlinie.
— A matka?
— Rdwient.
— To jest pan bezwzględnie Niemcem.
— Panie! — zawołał zniecierpliwiony Szuliz — jeśli kura znieje jajko w chlewie, to koniecznie musi się z niego wyłęgnąć kwintka!

(Z książki „Satyra w nieapracji”, która ukaza się w wydaniu Spółki, Wydawn. „Wiedza”)

KONSPIRACJI

podawane z rąk do rąk, drukowane lub, co się częściej zdarzało, powielane pisemka satyryczno-humorystyczne, że wymienić: „Szpilka”, „Biały Kon”, „Lipa”, „Mosiak”, „Zadra”, „Kret”, „Latarena”, „Dylizans”, „Luźna Kartka” (przy „Zachodniej Straży R. P.”), czy jak się ona tam nazywała. Miały swoje pisemka i ośrodki prowincjonalne, np.: Kraków („Na ucho”). Brak aktywnego antyhitlerowskiego podziemia w Niemczech — zastępowany był w Warszawie! — tu bowiem wydawano dywersyjne pisemka rzekomo niemieckie, z humorystycznymi — wspaniałymi „Klabautermann”, czy jednodniówka „Erika”. Pod hasłami „My możemy kpić ze wszystkich, wszyscy tylko z nas!”, czy „Jesteśmy deserem dla czelnika prasy podziemnej” — szła humorystyczna gazetka w lud. Miała nas rozzerwać i rozweselić, odebrać groźbę moc łamiącą ducha. A czy zrobiła to dobrze — osądzicie sami.



ZA KULISAMI GŁÓWNEJ KWATERY FOHRERA
Specjalny sprawozdawca fotografczny „Klabautermann” przy Kwaterze Głównej nadesłał ostatnio to interesujące zdjęcie z narady Fuhrera z niemieckim sztabem generalnym. Frajtek Adolf Hitler dostał od generałów porządnego kopniaka.

Nowy punkt w statucie partii.

Do statutu partii narodowo-socjalistycznej doliczono ostatnio nowy paragraf, który reguluje wynagrodzenie za zwerbowanie nowych członków do partii: za każdego nowo zwerbowanego członka, werbujący otrzyma nagrodę w wysokości 250 RM.

Za dwóch zwerbowanych członków — 700 RM narody.

Za trzech — zwolnienie z partii.

Za czterech — zwolnienie i zaślądzenie, że werbujący do partii nigdy nie należał.

UŚMIECH WARSZAWY

Patrz, to jest dumne miasto — Warszawa.
Wiecej niż tysiąc okropnych dni
Wiecej się sprawa trwała i krawa
A ona walczy, a ona drwi.

I chociaż dzisiaj broczy i krwawi,
Z jej krwią pisanych, codziennych kart
Jak promień podród burz i blyskawic
Śmieje się czołwiec jej dobry żart.

Codziennie krwawo te żarty płaci,
A jednak niema nocy, ni dnia,
By żart na szwabskim nie byłby plakiem,
Na znak że żyje, walczy i trwa.

Na wszystkich murach codziem obraza,
Szkopów, Fuhrera i cała oś,
I na latarniach, bramach cmentarza,
Znow „nur für Deutsche” naplaze ktoś.

Wbrew szubienicom, morderom i krzyżom,
Wbrew nocy, która podala śmiata,
Wielka Warszawa, polski Paryż,
Śmiech na ruinach kwitnie jak kwiat.

Bo ten zwycięzca, który się śmieje,
Rozpacza to dzisiaj ogromny grzech,
Dla tych, co zawzięci mieli nadzieję
Brzmiał wów przekorny, zwycięski śmiech.

Dziś — nur für Deutsche, jutro für Pole,
Zaszyjesz jeszcze wolności swej
Jutro zaśpiewasz im czarnogłoie,
Śmieje się Warszawa, śmieje się nam, śmieje!



Wulf, Wulf sei nichtaffe!
Wo ist seine neue Waffe?



Der Klabautermann



Der Klabautermann

FREIWILLIGE VOR !!



So sah im Jahr:

1919 — der SS Mann... und der Soldat



1943 — der Soldat... der SS Mann...

TAK WYGLĄDAŁ W ROKU...

1939 — SS Mann i żołnierz
1943 — SS Mann i żołnierz



Hitler am Marne und Gumbak mit Krupp
Das ist der weltliche Hauptberuf...



Was heisst das, dumme Klötze, habt ihr denn vergessen,
wie man Offiziere salutiert? Ich werde es euch lehren,
Ihr schanddrige Bande! Zehnmal: Niedert Auf! Aber
schnell!

Co to znaczy, głupie bydłaki, zapomnieliście już,
jak salutować się oficerów? Ja was nauczę, wy
huchmaniarzka bando. Dziesięć razy: Padnij!
Powstań! Tylko przedk!



Frau dich des Lebens und Lache fürwahr!
Der Blitzkrieg dauert nur noch 20 Jahre!



cenam i u ty

Podobną rewolucją do tej, jaką wywołała maszyna parowa, było wykrycie elektryczności i zastosowanie jej w technice. Dłotychczas bowiem, dajmy na to, w fabryce wszystkie maszyny były połączone ze sobą za pomocą pasa przenośnego — transmisji — z wałem długim na całą halę fabryczną. Ten wał zasadniczo „dyrgoczył” wszystkimi maszynami a dany oddzielał spełniając rolę podwielnika między motorem wytwarzającym energię i maszynami wykorzystującymi tę energię. To pociągło za sobą niemałe koszty, gdyż traciło energię na obrót wału. Wał ten pracował zawsze, nawet, gdy nie wszystkie maszyny

Na miejsce dziesiątek silników jedna stacja elektryczna. Dziesiątki ciężkich, hałasujących wałów zastępują lekkie przewody. Do obsługi zaś wystarcza kilku ludzi.

Jak parowy silnik skoncentrował w jednej fabryce większą ilość maszyn, tak generator elektryczny pociągnął silniki na jednej stacji. To pociągnęło za sobą jeszcze większe oszczędności.

Wiadomo, że każdy silnik pochłania masę materiału opałowego, całe wagony węgla i cysterny benzyny, które w większości wypadków dostarcza się z daleka. I znów koszty, utrata czasu, związane z dostawą. Niepodobna przenieść wszystkie fabryki w zagłębia węglowe. Niepodobna, ale i nie trzeba, bo energię można wytwarzać w miejscach bogatych w węgiel i stamtąd dopiero za pomocą przewodników elektrycznych przesyłać ją fabrykom. Nic więc dziwnego, że stacje elektryczne „przesiedlają się” w pobliże źródeł paliwa i rosną ilościowo, jak rosną miasta. Obsługują dziesiątki fabryk, wielkie miasta, całe okoliczności.

Podobnie jak para uniezależniła fabryki od wody, elektryczność wywabia je od zależności paliwa.

Ale...

Energję można wytworzyć nie tylko przez spalanie węgla, da ją także... woda! Wiemy, że współzawodnikom maszyny parowej było kolo wodne, kolo te stosowane szeroko, ulepszone aż do t. zw. turbin wodnych czyli hydraulicznych. Minus stanowiła tu znnowo zależność od wody. Z chwilą zwycięstwa maszyny parowej turbiny usnęły się w cień, lecz nie na długo. Tu znnowo elektryczność. Turbina spełnia rolę silnika dla generatora a wytworzona energia przez przewody idzie w świat.

Tak wykorzystano wodny potok — były węgiel. Kosztowne zakłady stacji wodnych spłaca się szybko, z nadwyżką. Po stopniach, ciałę wyżej postępowała technika. Przed półtora wiekiem najsilniejszy był 76-konny silnik Watt'a, a dziś siła parowej turbiny wynosi 280 000 KM.

W ciągu jednej minuty wytwarza więcej energii niż najsilniejszy motor XVIII-ego wieku. Miał więc rację Pawłow mówiąc, że dziś droższa jest minuta niż całe doby dwadzieścia lat temu.

Długie tysiąclecie głównymi źródłami energii były „tęże motory” — ludzie i konie. Po raz pierwszy wprowadzono do użytku motor w 1784 roku. Pierwszą stację elektryczną zbudowano w r. 1882. W sto lat zatem ludzkość dokonała tak gigantycznego skoku. Nie darmo przez te stacje nazywamy wiekiem pary i elektryczności. Para i elektryczność skróciły lata ciężkiego wysiłku do godzin i minut. Para i elektryczność wzięły górę nie tylko nad czasem, ale i nad przestrzenią.

Według Szura — J. Ejfjns

OJCIEC RADIA

Mimo powszechnego mniemania, Guglielmo Marconi nie był tym, który pierwszy wprowadził w czyn idee porównywalne do tych, które należą do telegrafu bez drutu. Na niego spada prawdziwie zasługa spowszechnienia wynalazku, który został zadenotowany przez pierwszego w Anglii w 1895 r. Takim bez drutu został bez sensu — umiarkowana reklama dokonała resztę... Marconi zapoczątkował nową epokę w dziejach techniki a jego nazwisko znalazło się na uczach wszystkich i pracował w Kronstadtzie, w dalekiej Rosji, jako nauczyciel w Szkole Górniczej. Nawisłko jego brzmiało: Aleksander Stepanowicz Popow.

Aleksander Stepanowicz Popow nie zdobył sobie za życia niemal żadnego rozgłosu a i po śmierci nie wiele o nim, poza Rosję, mówiono. Cicha czołówka, o temperamentem prawdziwego uczonego, oddany całkowicie swej trudnej pracy, nie potrafił zająć się ani własną, ani swego wynalazku propagacją. Gdy syndykat angielskich kapitalistów zwrócił się do niego z propozycją, by „sprzedał swe patenty, lub wszedł z syndykatem w porozumienie w celu szerokiej eksploatacji jego dotychczasowych odkryć” — Popow odpisał krótko: „Jestem Rosjaninem i całą moją wiedzę, cały mój trud i wszystkie moje osiągnięcia mam prawo oddać tylko mojej Ojczyźnie”. Popow żył w Rosji carskiej. Były to czasy na długo przed Wielką Rewolucją. Nie oceniano so tak, jak na to zasługiwał. Żywa jego nie wcale poza wagi kraj jego współpracowników i uczniów. Świat wiedział tylko o Marconim i Marconi zbierał laury, które właściwie przysługiwały stuleściami akromion akromion profesora kronstadtzkiej uczelni. Nie pierwszy to zresztą wypadek w historii wielkich wynalazków...

Był to dzień 7 maja 1895 r. Tego dnia w petersburskim uniwersytecie odbywało się posiedzenie Towarzystwa Rosyjskiego Fizyków i Chemików. Nikt z przybyłych nie przeczuwał, że przyjdzie mu być świadkiem wydarzenia, które przejdzie do historii.

Porządek dzienny zebrania zawierał trzy punkty. Najpierw przedmawiał długie przemówienie profesor Sipiński. Potem autor dzieła „O prawach paraboli” z daremna gorliwością usiłował zainteresować słuchaczy swoją pracą. Wreszcie nastąpiła odczytanie i dyskusja z profesorem Sipińskim. W Kronstadtzie, Aleksandra Stepanowicza Popowa pod przydługim i nieciekawym tytułem: „O wpływie fal elektrycznych na żelazo opisał”. Najciekawszą częścią zebrania spoglądali już na dźwigi, oczekując rybnego koła.

W międzyczasie Popow wniósł swoje przysady i ustawił je w przeciwnych końcach obrotowej szelki. Po jednej stronie — udoskonalony wibrator Hertza, po drugiej — niewielka skrzynka nazywająca cienikiem pokrowcem. To był pierwszy radiobiosmierz świata.

Gdy wszystko było gotowe, Popow wstał na katedrę i nerwowo szarpnął suwak niewielką, rudawą brodkę, rozpoznał:

„Stranowni zgromadzeni! To samo audytorium, gdzie na amfiteatralnie wznoszących się ławkach siedział kiedyś początkujący student Popow i z prawie bolesną cieżką wdechował się w pierwsze słowa nauki, plynące z ust uniwersyteckiego znakomitości. Dziś na tych ławkach siedzieli oni, ci sami profesowie i uczeni, a tu za lektorskim stołem miał im o rzeczach, których zaszczenia nie mogli jeszcze pojąć.”

Mówił o źródłach swej pracy, o swoich wielkich poprzednikach, o odkrywcy Hertza i Branly'ego, opowiadał o własnych, niekiedy zaskakujących się próbach i opilkami i kohererem, o powolnym stopniowym zwiększaniu odległości między stacją sygnałów a odbiornikiem, o dniu, gdy wiedza w pracowni uzyskała nagłe ostrze silny głos wmontowanego w aparat dzwonka a następnie dowiedział się, że w owym czasie nad okolicami Petersburga, w odległości 30 km od Kronstadt, przechodziła pierwsza wiosenna burza. — Mówił coraz pewniej, coraz silniej, jego chrobokliwie blade twarz ożywiła się rumieńcami, w oczach iskry się plonily. — Popow objaśnił konstrukcję swego „gromotmierzycy”. Wysyłane przez wibrator elektromagnetyczne fale przepływały niewidzialnie przez salkę, a odbiornik dawał o nich znać przecyrywaniem, natarczywym dzwonkiem... Wąsztko to było nowe, oryginalne i interesujące. Referent nagrodzono oklaskami. Ale wśród licznego zebrania nie znalazł się ani jeden człowiek, który by dostatecznie głęboko pojął, do czego prowadzi dopiero co zadenotowany wynalazek. Sekretarz Towarzystwa sporządził pod nr 151 (201) suchy protokół, zawierający w beznamitnych, skąpych zdaniach streszczenie odczytu Popowa i dwóch poprzednich prelegentów. Ludzie poszli i technicy oczuli spory na wszystkie inne tematy, nie utrwalałszy sobie tego, że stała się rzecz wielka: radio przyszło na świat.

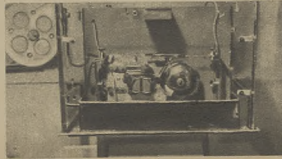
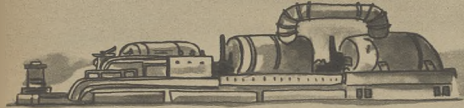
FOTO SIB



funkcjonowały, gdy którąś z nich remonowano lub oczyszczano, co się przecież często zdarza. Wtedy energia przeznaczona dla danej maszyny szła na marne. Lecz i tu z pomocą przyszła właśnie elektryczność. Teraz motor parowy wprowadza w ruch generator, który zaczyna wytwarzać energję elektryczną, ta zaś przez przewody dostaje się do poszczególnej maszyny. Wystarczyło przekrećć kontakt, by maszyna zaczęła lub przestała pracować.

Pomyślcie, czy to nowe udoskonalenie nie było rewolucją w technice?

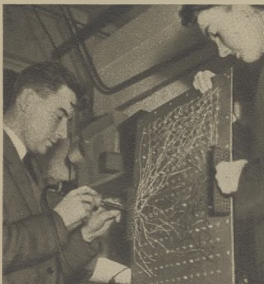
Przed zelektryzowaniem każda wielka fabryka miała wiele oddziałów, w każdym z nich znajdowały się silniki obsługiwane przez maszynistów i innych robotników. Po elektryfikacji zaś jeden silny generator dostarczał energii dla całej nawet fabryki.



NOWOŚCI TECHNIKI



J. Henry Dewitz, wynalazca uniwersalnego biurka, zawierającego telefon, radio, dyktofon i inne rzeczy, niezbędne do urzędowania — goli się podczas dyktowania sekretarce listu.



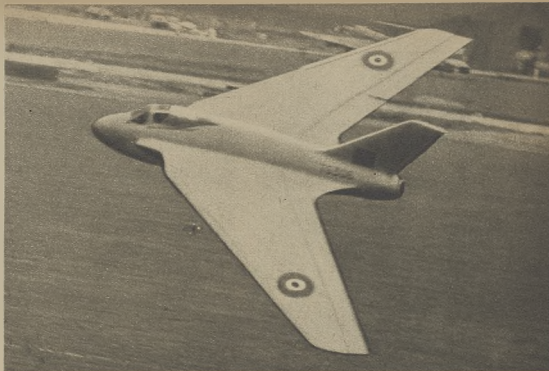
Elektronowa maszyna do liczenia, która niedługo ukaże się w Anglii, jeśli tysiąc razy tańsze od prototypu amerykańskiego. (Na zdjęciu — to tylko część maszyny!)



Nowy przyrząd lekarski, służący do precyzyjnego badania składa krwi. Prace, która wykonywana jest w laboratorium soczka długich godzin, opiera się na spełnieniu w ciągu trzech minut.



Aparat radiowy nawiguje kontakty z nasłuchiującym pocingiem i podaje sygnał ostrzegawczy, słyszany w promieniu pięciu mil



„Gwiżdzący bumerang” — angielski samolot rakietowy, który miał pobić światowy rekord szybkości

FOTO - SAP



Luksusowa lokomotywa amerykańska o napędzie elektryczno-dieselowym



FOTO-SIB

Powojenny samochód sowiecki marki „Pobeda” (Zwycięstwo) o pięknych, opływowych linach



Francuski rower o napędzie na przednie koło, który jeździ po schodach.



Włoski rower o napędzie ręcznym i nożnym, szczególnie przydatny w górach.

FOTO - SAP

FOTO - SAP

Co nosimy w tym sezonie?

Oto młodociany, uniwersalny jesiennie-zimowy płaszcz z grubej wielbłądziej wełny w kolorze jasno-brązowym z oryginalnym i twarzym kołnierzem, osłaniającym szyję od wiatru. Płaszczkę zresztą nosi się najrozmaitsze: od krótkich, luźnych, trzyćwierciowych, do długich i wciętych w tali z szerokim paskiem z klamrą, obciągniętą tym samym materiałem. Rękawy przede wszystkim szerokie, często kimonowe lub wszywane w szeroką pachę, imitującą kimono. Guzików mało, — często jeden tylko duży guzik w tali lub pod szyją, gdy talie ściga pasek. Bardzo noszona są płaszczki z futrzanym „garniturem” w postaci karczka, rękawów, plis, kieszeni z futra. „Peluchy” futer zobaczymy tej zimy mało. Jako zbyt kosztowne — wyszły po prostu z mody.

Krój sportowy, kieszenie lub imitacja kieszeni, rękawy często trzyćwierciowe, stelnówki, zakładki — oto najmłodniejsze, najpraktyczniejsze sukienki na rano. Na popołudnie — drapowane, podkreślające biust staniki, brak dekoltu, lub przeciwnie — duży dekolot w kształcie trapezu. Modne są linie i motywy asymetryczne. A więc drapowania niemal z reguły znajdują się po jednej tylko stronie stanika — dochodzą np. ukośnie do tali i nadają falistość spódniczce, również tylko z jednej (przeciwnie, niż na staniku) strony. Modne są aplikacje, inkrustacje, przybrania z sutażu itp. I tu obowiązuje asymetria w motywach. Nawet przy płaszczach i kostiumach stosuje się zasadę asymetrii: np. jedna kłapa jest z materiału wełnianego, druga — nalożona płaskim futrem lub aksamitem.

W zakresie sukienek zdecydowanymi faworytkami sezonu są kombinowane połączenia z wełny w dwóch kolorach: brązowy z brudnoniebieskim lub szarym, zielony z czarnym... Kapelusze nosimy przeważnie małe, zsunięte z czoła, rondka wąskie, kapryśnie powygłinane ku górze, główki niskie. Przybranie — to pióra, piórka, pióreczka w nieskończonych odmianach.

Pełki.



Oryginalna sukienka popołudniowa z malowego jedwabiu w kolorze szalowym. Model nadaje się tylko dla szczupłych sylwetek!



Ujocza w swej prostocie sukienka z miękkiej popielatej wełny, której jedyne przybranie stanowi „fastyga” z białej włóczki. Na uwagę zasługują oryginalne wycięcie dekolitu

Harper's Bazar

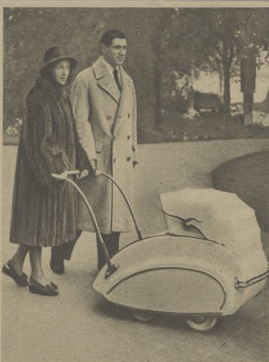


Młodzieżowy płaszcz jesienny z grubej wielbłądziej wełny w kolorze jasno-brązowym z oryginalnym i twarzym kołnierzem, osłaniającym szyję od wiatru. Modna forma „począłona” z brązowego boku harmonizuje doskonale z całością.

KONSTELACJA GWIAZD



Ta wesela pani przybyła ze Standów Zjednoczonych do Paryża. Jej zawód? Gu bardzo smutne role we francuskich filmach. Poza tem — to najlepsza obecnie artystka świata, Michele Morgan, znana u nas z filmu „Ludzie za mgłą”.



Najważniejszą rolę na zdjęciu jest Francoisa Monika (w wózku), najmłodszej z gwiazdek Lina Rainera, wielka artystka filmowa szczególnie walewna filmem „Ziemia błogosławiona” wg powieści Pearl S. Buck



To nie jest najejczyński sposób słuchania wyroków prokuratora w sądzie! Nie podoba się Wam ta pani? To dawno, wesela ona prawie w przyszłości. Kto to taki? Ależ oczywiście — Marlena Dietrich w swoim najnowszym filmie!



RADY KOSMETYCZNE DLA DZIEWCZĄT

Malujemy się dziś chyba wszystkie. Z tym faktem pogodziły się, zdaje się, ostatecznie nasze rówieśnice, omalowane mamy, ciocie, które „mają za złe”, a nawet ojcowie, bracia i narzeczni (mężczyźni są, jak wiadomo, w tych sprawach bardziej) od kobiet konserwatywni).

Stuka maquillage'u nie należy jednak — wbrew pozorom — do łatwych. Inne są zasady malowania się dla młodych dziewcząt, inne — dla kobiet „w wieku balzakowskim”. Inaczej stosuje się szminki przy twarzy szcuplej o ostrych rysach, inaczej — przy twarzach okrągłych „jak księżyc w pełni”. Dobór szminki zależy nie tylko od indywidualnego koloru cery i włosów, ale i od pory dnia i miejsca pobytu (np. inaczej trzeba się malować w czasie pobytu w górach na nartach, a inaczej w mieście, gdy czas spędza się przy pracy lub na wykładach), wreszcie od mody i rodzaju garderoby, jaką się nosi.

Moda ma wielki wpływ na rodzaj maquillage. Np. w tym roku moda podkreśla „kobiecość” sylwetki — i to kobiecość w nieco staroświeckim stylu: falbanki, puffy, miękkie opadające na ramiona dickensowskie peleryny — przekreśliły ostatecznie typ urody „la femme”. Modne są kobiety blade, uduchowione, rozmarzone... słowem iwarz musi pasować do stroju. „Nie nosi się” już brwi rysowanej cienką kreską w połowie czoła — lecz właśnie, dość gęste brwi, biegnące łagodnym łukiem nad oczami i lekko przyciemnione. Modne są blade policzki — a więc róża mogą używać tylko kobiety o wyjątkowo bezbarwnej cerze. Dzisiejsze parzytanki malują właśnie tylko usta szminką ciemno-czerwoną i niekiedy jaskrawą, nikt dziś nie używa pomadki do ust o „dziwkich” odcieniach pomarańczowych lub fioletowych. Rzęsy przyciemnia się henną, włosom pozostawia się kolor naturalny — hienone na słonkowo-zieliste odcienie blondynki należą do przebojowych anachronizmów.

Reasumując — kobiety malują się dziś bardziej rozsądnie i umiarkowanie niż przed kilku laty. Szczęśliwy to zwrot w dziedzinie kosmetyki i z pewnością zastosują się do tej nowej „umiarkowanej” mody nasze czytelniczki. Kiedyś mamy 16 czy 20 lat i świeża „brzoźwinowa” cera, która daremnie nadławdawać pragnę „odrobinkę” starsze kobiety — możemy śmiało zrezygnować z jaskrawych szminek, które stosowane nieudolnie lub w nadmiarze — nadają młodej twarzy wyraz sztuczny i wyzywający. Dla orientacji — podajemy kilka „przykładów kosmetycznych” dla 16, 18 i 20-latek. Należy więc:

1. Dbać o czystość cery, pochodzącą z dobrego stanu zdrowia. „Tępic” przyszcza i węgry tak często spotykane w tym wieku przynajmniej lek skutecznym środkiem, jak: odpowiednia dieta, przemywanie twarzy cytrynowym salkicylowym itp.
2. Nie używać dużo pudru, wystarczy pudrować lekko nos — pudrowane policzki postarzą!

ŚWIĘTA W DOMU

Od staropolskiego obyczaju do dnia dzisiejszego

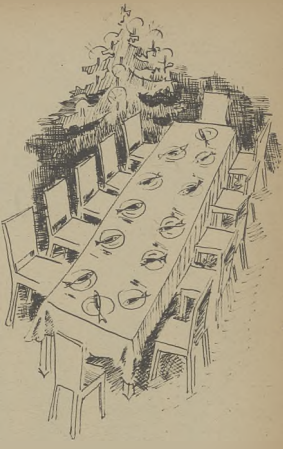
„W dzień wigilijny (XVI—XVII wiek) Jednąk w całej Polsce był obiad — pisze prof. Bystron w zwojach „Dziejach Obyczaju” — zupa międłowa z dodatkiem karczasa i uszka, mi, grzybami i śledziami, kucja, krążki z chrzanem, karp do podewy, szczupak z szafranem, okonie z posiekanyimi jajami i oliwą, placuszki z makiem i miodem. W zamieszanych domach podawano aż 12 dań rybnych.”

Do zwyczaj wigilijnej i tradycyjnej rodzinnej uroczystości podkładano pod obrus siana — na gamiętkę złobu, w którym Dzieciątko Jezus w stajence leżało. W wieczery wigilijnej brała udział cała rodzina, wszyscy domownicy, służba i goście, którzy w tym czasie w gościnnym domu gospodarza przebywali — a także zwierzęta: reszki wigilijnego jałowca wyrzucano bowiem bydlu i koniom, mieszając doń pokruszony opłatek. Wierzono, że w dniu tym cała przyroda odczuwa, że Zbawiciel na świat przychodzi i bierze udział w ogólnej radości. Opowiadano, że o północy zwierzęta miewia się sobą ludzkim głosem, że woda zmienia się

Wiele tradycji i wierzeń religijnych poszło dziś — w wirze dziejowych kataklizmów — w zapomnienie. W skali współczesnych możliwości materialnych — niewiele było domów — nawet przed wojną — w których przygotowywano by w wieczery „12 dań rybnych” i kilkanaście innych potraw i przysmaków. Kłóży to wszystko zresztą zjadł „Zariokom” staropolskim wspaniałym ludzie nie potrafił już dorównać... Poszły też w niepamięć piękne legendy o ludzkiej miłości zwierząt i innych leżących cudach, dziejących się w czasie wigilijnej nocy.

Ponad wszystkie inne przetrwała jednak tradycja najmilsza i najpękniejsza: tradycja skupiania się przy stole wigilijnym — w tym symbolicznym dniu poważającej miłości i zgody — grona najbliższych.

Święta w domu... Urok tych słów, ichących prostą, głęboką radością rozumiemy dziś bardziej niż kiedykolwiek. Wiemy, co to znaczy rozstać się na zawsze z najdroższymi sercu; wiemy, co to znaczy utracić dom swój i budować go na nową; wiemy wreszcie, co, co to znaczy tęsknić i czekać na tych, którzy żyć; naszymu odradzającemu się z gruzów



przeglądając się zdalekąd z obcego brzegu, ocagając — jak się powodem do jednego miejsca na ziemi, do którego warto i trzeba wracać: do swej o gniazda.

I dlatego — jakkolwiek jest ten nasz obecny dom powojenny — cały, czy okaleczony okrutnie — starajmy się stworzyć w nim dobrą, serdeczną atmosferę rodzinną. Niech będzie znowu tak przystojna, do której zawsze najchętniej się powraca, źródłem ożywczym, które pól otuchą i odwagą.

Wieczer wigilijny — to jedyny, niepowtarzalny wieczer w roku, w którym odczuwamy głęboko, jaką potęgą i siłą jest więź rodzinna, jakim skarbem — nasz dom. Dom stworzony nie tylko z cegieł i tynku ale z najgłębszych uczuć i niewidzialnych, silniejszych od śmierci i zniszczenia więzów, jakie wiążą serca i dusze ludzkie między sobą.

Orz.

ŚWIĄTECZNE POTRAWY

Zestawienie smacznej i niechybnie kosztownej wieczer wigilijnej nie należy wcale w dzisiejszych warunkach do rzeczy łatwych. By ułatwić miłośnikom apodyktom to zadanie — podajemy trzy projekty jadłospisów wigilijnych — od najekonomiczszego do najbardziej wykwintnego.

Śledzie marynowane, kartofle w mundurkach
Czysty rośół z grzybów, kłuski francuskie z grzaniem
Golabki z kapuszą i kaszą, sos pomidorowy
Karp w śmietanie, suszka z kiszcei kapuszy
Lanacze z makiem.



Śledzie sleanke, sałatka karmelona z jabłkiem i
Barzecz czerwony, uszka grzybowe
Szczupak z wody, sos chrzanowy
Kapusta z grzybami
Karp w śmietanie
Kompot z suszonych owoców
Krucze paluszki z makiem.

Śledzie w oliwie lub sosie mustardowym
Czysty rośół rybny, paszteciki rybne w francuskim cieście

Ryba w majonezie
Karp na szaro z rodynkami
Budyń czekoladowy ze śmietanką z puski UNILEVA
Ryba smażona, sałatka z czerwej kapuszy
Mak tarty z miodem, kruche ciastka (kartofle)

Budyń czekoladowy ze śmietanką z puski UNILEVA
Pomaraż śledzie beztętny jeść też siły prawdopodobnie częściej — dzięki zapotrzebowaniu węglowod. — podawany naszym miłym czytelnikom praktyczny przepis na smaczną śledziową „steka-niołkę”.

Śledzi stekany — 2 śledzie namoczyć na noc w zimnej wodzie, 4-8 kartofli ugotować w łupinach, obrat z łupin pokroić gorące. Śledzie obrat z oliwą i karmel. Przekroić przed maksymalnym wiesz z kartoflami, dodać cebulę i równie dużym winkowatym jabłkiem. Wymieszać dokładnie, dodać masę, lekko podkoryć, polać obficie oliwą. Po paru godzinach polać dobrym winnym octem. Potrymać na chłodzie parę godzin przed użyciem.



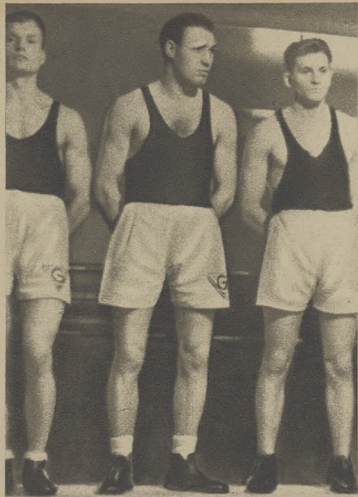
3. Różować policzki bardzo ostrożnie. Nie ma nic brzydszego jak jaskrawe, sztuczne plamy na policzkach podłotka!

4. Nie używać szminki ani pudru w kolorach ciemniejszych od koloru naszej skóry. Ciemna pomadka do ust również dojdaje powagi.

5. Wyrzucić ze swej kasełki kosmetycznej wszystkie szminki do barwienia powiek na zielono, brązowo, niebiesko etc. „Ciężkie spojrzenie” demonicznej kobiety jest czasem twarzą dla dojrzałej urody — nigdy dla wspaniałej młodości.

6. Rzęsy i brwi przyciemniać henną — nie przedłużać brwi obłocznymi. Rzęsy sztywne i popołone tuszem nie są wcale ładne. Ciąglecznie — można sobie pozwolić na tusz przy uroczystych okazjach — wieczorem. Na codzień lepiej wyglądać rzęsy naturalne.

7. Nie używać pomadki do ust „zbyt tłustej, nie składającej się na warstwy „wstążkami”. Usta powinny być czerwone — lecz nie powinny wyglądać, jak posmarowane szmalem i tak mężczyźni skazują się, że poculnek współczesnej kobiety ma smak... świacy!



Kolczyński przed rozpoczęciem meczu „Grochów” — „Budowlani”

dziwie się entuzjastom, którzy nie opuszczają żadnej okazji oglądania jej. Przecież to sport! Tu nie chodzi o wybitcie sobie zębów czy poruchotanie kości!

Niedawno, bo w niedzielę, 10. 11. w sali polskiej YMCA w Warszawie stanął zespół „Grochów” — jedna z najlepszych drużyn bokserkich w Polsce przeciw „Budowlanym”. Sądząc z owacji publiczności i orzeczeń sędziów podczas rozgrywek rozumiało się jasno, że publiczność darzy sympatią, bardzo zresztą uzasadnioną „Grochowian”, a sędziowie rzucają ich mogą „Budowlanych”. To drugie odbiło się ujawnia na wynikach, które mogły być pomyłką dla „Grochowa”, w najgorszym wypadku przyznać remis, a dasy... zwycięstwo „Budowlanym”.

Walki, szczególnie jedna między Łukasiewiczem z „Grochowa” i Selmą z „Budowlanych”, były ciekawe i widać było, że zespół „Grochów” góruje nad przeciwnikiem. Do walki w wadze średniej ze strony „Grochowa” wystąpił mistrz Polski Kolczyński, oszczędzając się wyraźnie ze względu na kontuzję brwi. Na uwagę ze strony „Grochowa” zasłużył poza tym: mistrz Polski w wadze piórkowej Komuda i Archacki.

Wyniki techniczne: Waga musza — Szatkowski („Grochów”) uzyskał remis z Tyczyńskim.

Waga kogucia — Sieradzian („Budowlani”) zwyciężył Sobkowika.

Waga piórkowa — Komuda (G) wypunktowuje Tyrak.

Waga lekka — Selma (B) zwyciężyła Łukasiewicza, według orzeczenia sędziów.

Waga półśrednia — Janczak (B) zwyciężył Więcha.

Waga średnia — Kolczyński zwyciężył Ożarka (B).

Waga półciężka — zwycięstwo odnosi Archacki w ciężkiej walce z Koczkiem (B).

Waga ciężka — Schorcz zdobywa punkty na skutek poddania się przeciwnika Burchyckiego (G) już w pierwszej rundzie.

Nie każdy lubi boks, jak zresztą wszystko. Tu jednak jest specjalny rodzaj upodobania. Boks może pasjonować, albo trzeba go nienawidzić. To drugie zachodzi w wypadku traktowania go jako tzw. „brutalnego sportu”.

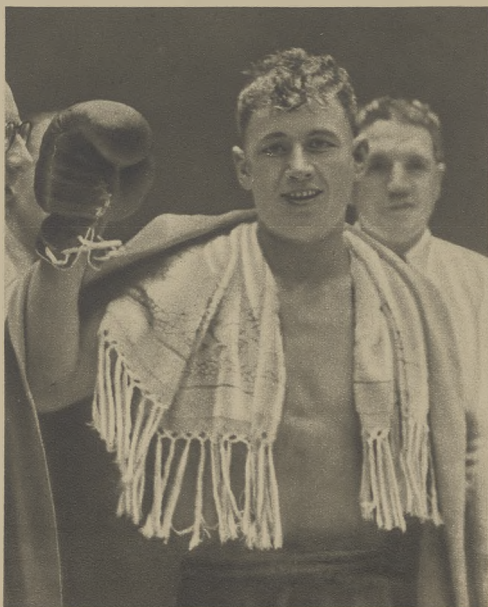
Przymiotnika tego jednak używają napewno ci, którzy bardzo mało znają sport, albo w ogóle nie mają o nim pojęcia. W obecności sprawiedliwych sędziów i taktowych zapasników walka bokserka jest naprawdę ciekawa i nie



Zwycięzca w biegu seniorów, mistrz Polski, Dzwonkowski.

**Mecz Hnalowy o puchar Kaluży
Warszawa — Kraków**

W niedzielę, dnia 3. XI., rozegrano na stadionie W. P. w Warszawie między drużynami piłkarskimi Warszawa — Kraków spotkanie finałowe o puchar Kaluży. Mecz wykazał, że drużyna Warszawy dotrzymuje kroku zespołowi Krakowa, który jest jednym z najlepszych w kraju i jest lepszy od Szołów. Spotkanie obfitowało w emocjonujące, a nawet — wobec niepogody i rozmokłego boiska — niebezpieczne epizody. Walka była zaczęta tempo prawie bez przerwy gwałtowne. Mecz ten zakończył się wynikiem remisowym 2:2. Obie bramki dla Krakowa zdobył Gracz, dla Warszawy — Swiarcz. Puchar Kaluży zdobył Kraków, będąc od początku zwyciężnym konkurentem.



W Pałacu Sportowym w Paryżu odbył się mecz bokserki Charron — Danthuille, który wygrał na punkty ten ostatni.

